

W kraju, w którym obecnie żyję i piszę to opowiadanie, zestarzałem się i przeżywam teraz dolegliwości i utrapienia podeszłego wieku. Moją młodość spędziłem jednak we Francji, moim rodzinnym kraju.

Dla wielu ludzi wspomnienia młodości są pełne radości i swoistego uroku. Ja natomiast raduję się z tego, co przeżyłem w późniejszych latach oraz tym, co aż dotąd przynosi mi każdy nowy dzień. Raduję się, że wszczepiony w Dom Pański mogę kwitnąć i weselić się w sieniach mojego Boga. Dawniej bowiem chodziłem jak umarły między umarłymi, a dziś? Dziś zbudzony z martwych żyję i weselę się z tego, że należę do ludu, który jest ludem wybranym, narodem kapłańskim, którego wiecznym najwyższym kapłanem jest sam Pan Jezus Chrystus. Jako pełny sił młody człowiek byłem niewolnikiem zakutym w kajdany niewiary, zabobonu i grzechu – a teraz, teraz dusza moja wyrwała się z sideł ptaszników; sidła zostały potargane, a ja jestem wolny.

O tym jak to się stało, jakiego Bóg użył narzędzia, aby mnie uczynić wolnym, chciałbym krótko napisać w tym opowiadaniu. Chciałbym ukazać czytelnikom to, jak *„z ust niemowląt i ssących Pan zgotował sobie chwałę”*.

Ukończyłem studia teologiczne i objąłem probostwo w jednej z uroczych miejscowości Normandii, na lewym brzegu Sekwany.

Przecudna okolica, winnice, kwitnące łąki, łany zbóż, zaś od wschodu ciągnął się przez kilka mil wszczepiony i wzdłuż samotny las. Był on pełen pagórków, dolin, chłodnych jaskiń i szumiących wodospadów. Jakaż w tym wszystkim była rozmaitość i jaka cudowna harmonia. Tak pięknego krajobrazu nigdy i nigdzie nie widziałem.

Wszystko to tworzyło jakby jeden duży ogród wokół ładnej wioski, w której mieszkalem. Wioski, gdzie każdy dom miał solidny słomiany dach i starannie utrzymane podwórko oraz ogród z warzywami i kwiatami.



Kawalek za wsią, na wzgórzu, stał duży zamek z granitu, zdobny w wieże i chorągiewki. Wznosił się wysoko ponad otaczające go drzewa tak, że z daleka było go widać. Szczególnie z drugiego brzegu Sekwany, z drogi między Paryżem i Rouen, otwierał się nań wspaniały widok.

Niedaleko tego zamku stały stare ruiny drugiego zamczyska, zwanego Tour de Tourteville. Nazwa jego pochodziła od nazwiska rodu, do którego przez długie wieki należał. W czasie, gdy objąłem swoje urzędowanie, żyło zaledwie kilku członków tego znanego rodu, z których stale bądź przez śmierć, bądź przez zamążpójście jeden po drugim ubywał. Pozostała wreszcie tylko sama pani baronowa, niewiasta tak szlachetna, że mówiono o niej powszechnie, iż skupia w sobie wszystkie cnoty swoich przodków. Poznawszy ją bliżej, sam przyznałem temu twierdzeniu słuszność, chociaż przed Bogiem, „który bada serca i nerki”, i ona była grzesznicą, której nie dostawało chwały Bożej.

Między wioską a zamkiem stał nasz kościół, zbudowany tak samo jak zamek z granitu w stylu romańsko-gotyckim. W pobliżu kościoła stał duży, ciemno malowany dom z dwoma wieżami, opatrzony w drewniane krzyże. W domu tym mieszkała sędziwa wdowa, pani Rullée. Była to osoba wykształcona, a co najważniejsze – miała niezwykle szlachetny charakter. Co się jednak tyczy jej materialnego położenia, to wskutek rozmaitych nieszczęść, jakie spadały na nią w ciągu życia jedno po drugim, było ono dość skromne. Aby zapracować na swoje utrzymanie, pani Rullée przyjmowała na wychowanie dziewczęta z lepszych rodzin, dla których była naprawdę dobrą i sumienną wychowawczynią.

Tuż obok zakładu, o którym mowa, stała moja skromna plebania, stykająca się bezpośrednio z ogrodem, w którym dziewczęta z zakładu bawiły się w wolnych chwilach. Nieraz zdarzało się, że ku ich oraz własnej radości, rzucałem z okna mojej kancelarii na pierwszym piętrze, pomiędzy rozbawioną gromadkę, jedną lub dwie garście cukierków.

Wówczas byłem i po dzień dzisiejszy jestem wielkim przyjacielem przyrody. Szczególnie zajmowały mnie dziko rosnące zioła i kwiaty, które zacząłem badać. Stworzyłem zbiór, który osiągnął z czasem pokaźne rozmiary. Nieraz zdarzyło mi się poświęcić kilka mil drogi, aby znaleźć jakiś nieznany okaz i włączyć go do mojego zbioru.

Poza tym miałem jeszcze i inne ulubione zajęcia, którym oddawałem się w chwilach wolnych od obowiązków. Były to zajęcia drobne i niewiele znaczące, jednak w Bożym ręku stały się środkiem, przy pomocy którego Pan uchronił mnie od niejednego niebezpieczeństwa i upadku, w którym byłbym niechybnie ugrzązł, gdyby mój umysł nie był zajęty ty-



mi, na pozór, drobnymi rzeczami.

Przebywając dzisiaj u stóp mego Zbawiciela nie wiem, jak Mu podziękować za to, że ustrzegł mnie wówczas od sideł, w których ciało i dusza młodego człowieka zwykle beznadziejnie ginie, że uchronił mnie od występstw, których śladów zewnętrznych już nigdy nic zmyć nie jest w stanie.

Przebudzony i doprowadzony do poznania mojego na wskroś skażonego i grzechem napełnionego serca, niezdolnego do żadnego dobrego uczynku, świadomy własnej bezsilności, oglądam się dziś na te skały, na te rafy podwodne, na straszliwe burze, które niejedną łódź życia, nawet najbardziej wykształconych mężów, rozbiły i razem z nimi pogrzebały w otchłaniach. Myśląc o nich całuję z uczuciem wdzięczności tę rękę, która wówczas, gdy nie śniłem nawet o jakimkolwiek niebezpieczeństwie, tak miłosiernie trzymała nade mną straż.

Pomimo, że zaczynały się już wtedy we Francji polityczne i religijne burze, moje dni we wspomnianej wiosce, podobnie jak dni moich sąsiadów płynęły cicho i spokojnie, jak wody strumyka. Zdawało mi się, że ani jeden głos z całego tego wzburzenia i gniewu nie może się do nas przedostać.

Zakład pani Rullée rozwijał się w błogosławionej ciszy i spokoju, choć przyznać należy, że ciemności, które wówczas całą Francję pokrywały, padały cieniem na naszą skromną wioskę, a mając przemożny wpływ na naukę, wyciskały piętno również na wychowaniu w naszym zakładzie.



Tak płynęły lata. Pani Rullée postarzała się i nie była już w stanie załatwiać tego wszystkiego, co dawniej robiła bez większego wysiłku. Z biegiem czasu w nauczaniu pojawiły się nowe metody i rodzice zaczęli stawiać większe wymagania. Pani Rullée zmuszona została do zatrudnienia wychowawczyni znającej nowe metody wychowawcze, odpowiadające nowym wymaganiom.

Taką — swoim zdaniem — znalazła w pannie Wiktorii, którą przywiozła ze sobą z Paryża. Niestety, wybór ten omal że nie spowodował zupełnej zagłady cichego, błogosławionego przytułku młodzieży. Do owczarni został wpuszczony wilk.

Zaledwie ta próżna i lekkomyślna dziewczyna przestąpiła próg domu pani Rullée, już zaczęła mącić tę błogosławioną ciszę i spokój, jakie tam dotąd panowały.



Dla panny Wiktorii bowiem znaczenie miało tylko to, co na zewnątrz było okazałe, zaś piękno wewnętrzne, szlachetne serce, skromność, pokora i podobne cnoty — nie znaczyły nic. Odpowiednio do swoich przekonań dzieliła też swoje wychowanki.

Te, które posiadały cenione przez nią cechy, cieszyły się jej szczególną łaską i przyjaźnią, reszta, chociaż były to najlepsze, najszlachetniejsze dziewczęta, narażone były na ciągle dokuczanie, kary, docinki i niechęć.

Takie postępowanie musiało wreszcie spowodować rozdźwięk wśród samych wychowanek, wśród tej miłej i zgodnej do tej pory gromadki.

Do serc tych, które były przez pannę Wiktorię lubiane i traktowane przychylnie, wkradła się pycha i zarozumiałość. Zaczęły patrzeć z góry na swoje koleżanki, zaś do serc tych, które czuły, że są lekceważone i krzywdzone, wdarła się nienawiść i zazdrość. Z tej wesołej i zgodnej gromadki utworzyły się nienawidzące się wzajemnie obozy. Taką zmianę zauważyłem już po kilku dniach, przyglądając się dzieciom bawiącym się w ogrodzie.

Podczas, gdy dawniej dolatywały do mnie z ogrodu miłe, spokojne głosy i radosne śmiechy umilające mi pracę, teraz słyszałem tylko kłótnie i wrzaski, zdradzające ukrytą nienawiść i duszony gniew. Znikł, po prostu przepadł gdzieś ten cudowny obraz, jaki przez długi czas miałem przed moimi oczami.

Zauważyłem, że również w grach dziewcząt wszystko się zmieniło. Prawie że zupełnie ucichły wesołe okrzyki towarzyszące zabawom. Nieraz zdawało mi się, że objawy te zapowiadają walącą się na nas straszną, smutną przyszłość i głęboki ból ściskał mi wtedy serce. Wspominałem też te piękne, szczęśliwe dni, kiedy to największą radością tych dzieci było pielęgnowanie różnych gatunków kwiatów na grządce, którą każda dziewczyna otrzymała od pani Rullée. Nieraz sprowadzałem im jakiś rzadki kwiat lub nasiona, za co nazywały mnie „le bon pere”, albo „le bon pere Baffre” (dobry ojciec Baffre). Kiedy przychodziłem do ich ogrodu zawsze witały mnie radośnie. Cała gromadka przybiegała i obserwowała pilnie, czekając co wyłoni się z moich kieszeni.

A jeśli się kiedyś zdarzyło, że za długo trzymałem je w napięciu, wówczas śmielsze wsuwały mi ukradkiem rączki do kieszeni i wyciągały, bądź jakąś małą paczkę, bądź też cebulkę. Nieraz sięgnąwszy w tył, przyłapałem taką śmiałą rączkę na gorącym uczynku. Wtedy z najpoważniejszą na świecie miną wydobywałem z kieszeni scyzoryk, ostrzyłem go na kamieniu, udając, że chcę uciąć rękę, która odważyła się rabować moje kieszenie. Wtedy zbiegała się ich cała chmara, usiłując uwolnić przyłapa-



na. Żadna z nich nie miała jednak odwagi zbliżyć się zbyt blisko, bym również i jej nie złapał. Jeżeli w ten sposób nic nie mogły wskórać, zaczynały udawać, że się gniewają albo siłą próbowały uwolnić pojmaną. Trwało to przez jakiś czas, aż wreszcie cała ta wesoła historia kończyła się wśród dziecięcego śmiechu, rozlegającego się po wszystkich zakątkach ogrodu. O, wy szczęśliwe chwile radosnej, beztroskiej młodości, jakże prędko przemijacie w życiu grzesznika, jak rychło odlatujecie.

Niekiedy, gdy sprzyjała pogoda, nakrywano w ogrodzie stół, wtedy i mnie proszono na wspólny, skromny podwieczorek. Gdy obiecałem, że będę obecny, dzieci na wyścigi przyozdabiały stół kwiatami lub sporządzały koszyk z sitowia, a napełniwszy go pięknymi owocami, stawiały go na moim miejscu.

Jak już nadmieniałem, należałem wtedy do kościoła rzymsko-katolickiego, w którym się urodziłem, i w którym zostałem wychowany. Jednak muszę się przyznać, że już wówczas zaczęły budzić się we mnie wątpliwości co do prawdziwości nauki mojego kościoła. Znikały jednak szybko – podobne do pojedynczych promyków słońca, przedzierającego się poprzez chmury. Nie mogły wtedy wywrzeć większego wpływu na moje życie, choć mogę stwierdzić, że zawsze starałem się prowadzić życie według mego najlepszego zrozumienia i zgodnie z własnym sumieniem.

Spotykając się z dziećmi, zawsze mówiłem im o wielkim znaczeniu szlachetnego, czystego i pobożnego życia, napominając je, aby wykonując codzienne zajęcia zawsze zwracały swe serca ku Bogu. Do tego dołączałem różne przepisy będące jednakże jedynie próżnymi, zewnętrznymi formami pobożności. Niestety, przepisy te nie były słuszne, ponieważ właśnie tego rodzaju formułki odwracają serce człowieka od szukania łaski Bożej i prawdy, a nawet bywają przyczyną tego, że człowiek zadowala się pozorem, cieniem i pustą łupiną. Pamiętam, jak gorliwie zalecałem im żegnanie się i częste odmawianie modlitw, których nauczyły się po łacinie. Zapewniałem je, że od posłuszeństwa lub nieposłuszeństwa w tych sprawach zależy ich wzrost w upodobaniu i łasce u Boga.

W taki sposób starałem się, stosując się do nauk swego kościoła, otoczyć swoje młode, małe stadko jakąś aureolą świętych, blaskiem świętości, nie wiedząc, że podawałem im do ręki broń, która w życiu, w walce z pokusami i grzechem niewiele, a może nawet w ogóle na nic się nie przyda i nie może przyczynić się do zwycięstwa.

Gdy tylko nowa nauczycielka zadomowiła się w zakładzie, natychmiast zagarnęła całą władzę i rozpoczęła dzieło zniszczenia, które w Paryżu, skąd przybyła, przybrało zastraszające rozmiary. Okazało się, jak



daremne są wszystkie ludzkie praktyki religijne, jak bezsilne są wobec nawału pokus, grzechu, że nie da się z nich zbudować tamy, która chroniłaby duszę przed powodzią grzechu.

Oczywistą okazała się prawda, że nawale tej sprostać i skutecznie oprzeć się może jedynie wiara i miłość do Chrystusa zrodzona w sercu przez Ducha Świętego.



W tym czasie, to jest w roku 1789, w zakładzie pani Rullée znajdowały się między innymi trzy dziewczynki, o których w trakcie dalszego opowiadania częściej będzie mowa i dlatego dokładniej je scharakteryzuję.

Najstarsza z nich była urodziwa Zuzia — ozdoba zakładu. Ta młoda, rozkwitająca dziewczyna wszędzie, gdziekolwiek natrafiała na jakiś opór, zawsze okazywała się umysłem dumnym i samodzielnym. Sądzę, że o ile przez wychowanie można coś osiągnąć, to wprawna ręka byłaby w stanie dobrze ją wychować i poprowadzić na właściwą drogę.

Na nieszczęście Zuzia znalazła się pod całkowitym wpływem panny Wiktorii, która ze swej strony okazywała jej ogromną przychylność. To też, jako ulubienicę nowej nauczycielki, jedne dziewczęta obsypywały ją pochlebstwami — inne zaś skrycie nienawidziły. Zuzia miała jednak konkurentkę — była nią Frania. Taka konkurencja pomiędzy dziewczętami powstała nie bez winy panny Wiktorii, która była osobą naprawdę bardzo przewrotną i raz obsypywała pochlebstwami Zuzię, innym razem okazywała swoją sympatię i przyjaźń Frani, jedynej dziewczynie, która usposobieniem i zdolnościami mogła dorównać Zuzi.

Zuzię nazwałem różą zakładu. Franię natomiast mógłbym porównać z pewnym cudnym kwiatem, który kwitnie w ogrodach wschodu. Jednakże charakter tego dziewczęcia nigdy mi się nie podobał. Nigdy nie uważałem u niej tej prostoty i otwartości umysłu, które czynią z dzieci takie miłe i godne miłości istoty.

Trzecią spośród wychowanek zakładu, której poświęcę uwagę, była pewna sierotka pochodząca z Anglii. Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, dlaczego ta dziewczynka została powierzona opiece pani Rullée. Nie jest mi nawet znane jej prawdziwe imię. Wychowawczyni nazywała ją Aimée, a więc i my będziemy ją tak nazywać. W czasie, o którym tu piszę, miała około jedenastu lat. Była małego wzrostu i z łatwością można było za-



uważyć ją wśród innych dzieci. Zwróciwszy na nią baczniejszą uwagę, zauważyłem, że ma tak miłą buzię, jakiej nigdy i nigdzie nie widziałem. Z jej jasnych włosów i delikatnej cery łatwo było poznać anglosaską krew. Była to taka dziewczynka, że ilekroć na nią spojrzałem, zawsze mimo woli przychodziło mi na myśl dzieciątko Jezus, którego obraz widziałem gdzieś na ołtarzu, jak siedząc na rękach matki, spoglądało pełnym dobroci i miłości okiem na klęczące przed nim tłumy. Zawsze, gdy tylko spojrzałem na Aimée, przypominałem sobie ten obraz.

Mała Aimée mogłaby stać się pociechą czcigodnej staruszki lub opuszczonej wdowy, która w mężu utraciła jedynego swego przyjaciela. Mogła być najlepszą powiernicą, najmiłą towarzyszką w dniach smutku i utrapienia, mogła być taką dlatego, ponieważ serce jej było napelnione tym pokojem, który Pan Jezus nazywa swoim pokojem (Jan. 14,27), pokojem, którego świat nie może przyjąć. I właśnie z powodu takiego usposobienia; *„dlatego, że człowiek cielesny nie przyjmuje tych rzeczy, które są z Ducha Bożego”*, inne dziewczęta lekcewały ją, drwiły z niej i odtrącały jako coś zbytecznego w swoim kręgu. U małej Aimée jednak tak było rozwinięte skryte życie z Chrystusem w Bogu, że ona poprostu nie była zdolna nienawidzić kogokolwiek. Serce, w którym mieszka Chrystus, choćby to było serce dziecięcia, musi znosić pośmiewisko i nieprzyjaźń tych, którzy nie znają Chrystusa. I również w przypadku oddanego Chrystusowi dziecka sprawdza się słowo: *„wszyscy, którzy chcą żyć pobożnie w Chrystusie Jezusie, prześladowanie znosić będą”* oraz: *„będziecie w nienawiści u wszystkich dla imienia mego”*.

Panna Wiktorii okropnie nienawidziła małej Aimée i okazywała to w taki sposób, że mógł to sobie wytłumaczyć tylko ten, kto został oświecony przez Słowo Boże i poznał, że serce ludzkie zdolne jest do czynienia wszelkiego rodzaju zła. Jak straszna nienawiść zapłonęła w sercu Wiktorii może świadczyć zdarzenie, które miało miejsce krótko po jej pojawieniu się w zakładzie. Ktoś dopuścił się jakiegoś brzydkiego postępuku; panna Wiktorii, chociaż nie miała na to żadnych dowodów, winę przypisała małej Aimée tylko dlatego, że dziecięcia tego nienawidziła i wprost ścierpieć nie mogła. Na biedną Aimée spadały kary jedna za drugą; trwało to tak długo, aż w końcu sama pani Rullée stanęła w jej obronie. Później okazało się, że mała Aimée była zupełnie niewinna, ale nauczycielka nie tylko nie starała się naprawić krzywdy wyrządzonej dziecku, ale nawet nie zmieniła swego podłego postępowania.

Powiedziałem już, że znikła z zakładu niewinna, dziecięca radość i miłe, niewinne zabawy, w których niegdyś wszystkie dziewczynki brały



udział; natomiast zaraz, gdy tylko w zakładzie pojawiła się Wiktoria wśród dziewcząt powstały grupki.

Nienawiść pomiędzy Zuzią i Franią stała się aż nadto widoczna. Reszta dziewcząt trzymała z jedną lub drugą. Nieraz słyszałem jak się między sobą kłóciły, jednak długo nie mogłem dociec przyczyny tego rozdwojenia. Pewnego razu, było to krótko przed Wielkanocą, siedząc przy oknie widziałem jak w czasie spaceru po ogrodzie z uwagą i zainteresowaniem słuchały swej nauczycielki. Rozmawiając doszły aż do końca ogrodu i zatrzymały się pod moim oknem. Nauczycielka usiadła na ławce, a obok niej z prawej i lewej strony jej ulubienice — Zuzia i Franja. Ona przywoływała przed siebie dziewczęta jedną po drugiej, a oglądając dłonie dziewcząt mówiła jakąś zmyśloną wróżbę, która później wywoływała głośny, lekkomyślny śmiech. Nikt nie myślał o mojej obecności. Ja, ukryty za krzakiem jaśminu wszystko dokładnie widziałem, sam nie będąc przez nikogo dostrzeżony. Gdy już każda z dziewcząt pokazała swoją dłoń i usłyszała wróżbę, zaczęły się wszystkie oglądać dookoła, a nauczycielka zawołała: Aimée. Teraz dopiero zauważyłem, że Aimée nie brała w tym udziału. Wnet też cała gromadka rozbiegła się po ogrodzie, szukając małej Aimée. Niebawem odnalazły ją w najodleglejszym zakątku ogrodu, siedzącą pod kwitnącym krzewem, zajętą czytaniem małej książeczki. Zuzia i Franja podbiegły do niej, porwały ją i poprowadziły ku nauczycielce.

Aimée szła z nimi bez słowa sprzeciwu. Przyprowadzona przed nauczycielkę padła na kolana, pokazując na coś, co trzymała w ręku Zuzia. Widocznie prosiła o pozostawienie jej czegoś, co przedstawiało dla niej wielką wartość. Nie mogłem odgadnąć o co prosiła, widziałem jedynie, że jej życzenie nie zostało spełnione, a kilkakrotnie ponawiana prośba jeszcze bardziej rozzłościła nauczycielkę. Wreszcie usłyszałem moje imię i groźbę, że o tym wszystkim się dowiem. Ponieważ powołano się na mnie, uważałem za właściwe wtrącić się do dyskusji. Wstawszy więc, wychyliłem się przez okno i zapytałem pannę Wiktorię co się stało, że musiała odwoływać się do mojej osoby. Panna Wiktoria właśnie wstała, aby ukarać Aimée, ale usłyszawszy mój głos, odwróciła się szybko i zbliżywszy się do okna, rzekła:

— Ojcie, właśnie potrzebujemy Twojej pomocy i rady, mamy też nadzieję, że sprawisz, aby to dziecko zostało surowo ukarane.

Po tym słowie zamilkła, bo wściekłość zaparła jej dech. Odetchnąwszy trochę mówiła dalej:

— Pomyśl tylko Ojcie, to bezbożne stworzenie, które pani Rullée uwa-



za za jakąś świętą, od czasu wstąpienia do zakładu ma przy sobie Pismo Święte, chociaż dobrze wie, że dzieciom tej książki czytać nie wolno. Właśnie znalazły ją dzieci przy czytaniu tej książki, a mina jaką przy tym miała, aż nadto zdradza brzydotę i zepsucie jej serca.

Mówiąc to odepchnęła dziewczę od siebie tak, jak odtrąca się jakiegoś plugawego gada.

— Gdzie jest ta książka? — zapytałem.

W tej chwili podniosła ją Zuzia. Zauważyłem, że mogła to być tylko część Pisma Świętego, bowiem książka była gruba najwyżej na trzy palce, a przy tym była już stara i bardzo zużyta. W oparciu o to co zaszło, mogłem aż nadto dobrze zaobserwować jakie złe uczucia żywiły wszystkie wychowanki wobec małej Aimée, jeżeli z powodu tej książki narobiły tyle wrzawy. Dlatego poleciłem, żeby książkę oddano pani Rullée, a ja przyjdę i pomówię o tym. Sądziłem, że tak rozstrzygając sprawę uspokoję obie strony, ale się pomyliłem. Gdy tylko Aimée usłyszała, że książka ma być oddana pani Rullée, padła na kolana i wyciągnawszy do mnie ręce błagała ze łzami:

— Drogi ojczy, dobry ojczy Baffre nałóż na mnie najcięższą karę, każ mi cały rok żyć o chlebie i wodzie, tylko nie zabieraj mi tej książeczki, mojej małej książeczki!

— Nie płacz drogie dziecię — uspokoiłem ją. — Jutro przyjdiesz do mnie i opowiesz mi wszystko o twojej książeczce.

Z tymi słowy opuściłem dziewczęta, czując dobrze, że takim rozstrzygnięciem nie zadowolilem ani oskarżycielek, ani oskarżonej. I nie pomyliłem się. Panna Wiktorja wracała do domu bardzo rozgniewana. O Aimée, ani o jej książce nie było już tego wieczora mowy.

Jak już wspomniałem, panna Wiktorja bawiła się w wieszczkę, wróżąc dziewczętom ich przyszłość. Jednej wróżyła księcia z sześciokonnym powozem, innej wojewodę, jeszcze innej hrabiego z czwórką, następnej barona, bogatego mieszczanina, wreszcie tej, która nie cieszyła się jej względami przepowiedziała, że wyjdzie za prostego rolnika. Ta lekko-myślna nauczycielka zamiast wszczepiać w serca swych wychowanek pokorę i skromność, wszczepiała w nie w ten czy inny sposób zarozumiałość i pychę. Wszystko to wywoływało tyle zazdrości i tyle nienawiści wśród dziewcząt, że wreszcie pani Rullée stanowczo się temu sprzeciwiała. Dowiedziawszy się o przyczynie nieporozumień, surowo je za to skarciła.

— Czy nie wiecie — mówiła — że zbliża się czas spowiedzi u ojca Baffre; jak chcecie przygotować wasze serca do tej świętości, jeżeli pielęgn-



jecie w nich tyle wstrętnych uczuć, tyle zazdrości? Pojednajcie się ze sobą i nie czyńcie z zabawy źródła nienawiści i waśni.



Następnego dnia pani Rullée poprosiła mnie do siebie. Stawiłem się na jej życzenie. Gdy znalazłem się z nią sam na sam w pokoju, otworzyła przede mną całe swoje serce.

— Drogi ojczy, moje wychowanki sprawiają mi w ostatnim czasie dużo kłopotów i zmartwienia. Były, jak sam wiesz, czasy, gdy u nas było zupełnie inaczej. Przeżywaliśmy w naszym domu miłe chwile, w pokoju o jakim dzisiaj niestety nie mamy pojęcia.

Ja byłem wtedy — mówiła to ze łzami — silniejsza, energiczniejsza, zdolna do zniesienia trudu mojej pracy. Każda godzina przynosiła mi wtedy nowe radości, i tak przyjmowałam każdą zmianę. Dziewczęta z radością przychodziły na naukę i wesołe odchodziły. Jeżeli która z nich w czymś uchybiła, wszystkie uważały to za ostrzeżenie, jeżeli któraś otrzymała paczkę, dzieliła się ze wszystkimi, jeżeli któraś chorowała, wszystkie okazywały jej współczucie. Dziś niestety nikt o to nie pyta, która z nich zachowuje się najlepiej, tylko która strojem i oglądą towarzyską góruje nad innymi. Dom mój stał się przybytkiem wszelkich namiętności i waśni.

— Czy nie wie pani — spytałem — co zburzyło pokój pani domu? Czy może pośpieszyła się pani za bardzo z wyborem nauczycielki?

— Panna Wiktorja, — mówiła pani Rullée, — ma odpowiednie wykształcenie i jest pracowita. Jeśli ją zwolnię, to trudno mi będzie znaleźć lepszą. Dlatego szukam u Ciebie pomocy, dobry ojczy. Proszę zawołaj do siebie dziewczęta, o które najbardziej się niepokoję i przemów do ich serc. Wiem, że jesteś wiernym i sumiennym doradcą i mam nadzieję, że uda ci się słowem napomnienia i nauki pomóc im wejść na właściwą drogę.

Kazałem więc zawołać trzy wspomniane już dziewczynki: Zuzię, Franję i Aimée. Pani Rullée tymczasem pozostała z resztą wychowanek w pokoju. Pierwszą, która weszła, była Zuzia. Od razu zauważyłem, że płakała.

— Córkko moja, ty jesteś jakaś smutna — odezwałem się do niej uprzejmie. — Powiedz mi proszę, co zaszło, co ci dolega. Otwórz przede mną proszę swoje serce, a ja udzielę ci rady.



Ledwie to powiedziałem, wybuchnęła płaczem i łkając zaczęła mówić, że dzieje się jej krzywda, że szczególnie Frania sprawia jej wiele przykrości.

— Frania — mówiła — dawniej moja najlepsza przyjaciółka, dziś jest moim największym wrogiem. Niektóre z dziewcząt uważają, że jestem ładniejsza, a ona tego nie może znieść i dlatego ciągle mnie napastuje i na każdym kroku daje mi odczuć swoją niechęć. Ciągle mnie podpatruje i zawsze, gdy jej się uda zauważyć jakieś moje potknięcie, zaraz z igły robi widły i buntuje przeciwko mnie wszystkie dziewczęta.

Nie będę powtarzał wszystkiego, co jej wtedy powiedziałem. Napomnienie moje było częściowo słuszne, ale do tego stopnia było pomieszane z błędnym zrozumieniem jakie wtedy posiadałem, że ostatecznie niewiele mogło pomóc. Usiłowałem przedstawić jej piękno chrześcijańskiej miłości i napominałem ją, by starała się kochać swoje koleżanki. Aby ją zachęcić do okazywania miłości, dodałem, że miłość sprawia odpuszczenie grzechów, dopomaga i daje duszy usprawiedliwienie. W taki sposób postawiłem miłość do bliźniego, czyli uczynki ludzkie na miejscu Chrystusa, nauczając, że dobre uczynki są w stanie zbawić od grzechów i jego następstw. Dziś wiem, że tylko krew Chrystusa może tego dokonać. Gdybym już wówczas znał i wierzył słowom: „Wiedząc wszakże, że człowiek zostaje usprawiedliwiony nie z uczynków zakonu, a tylko przez wiarę w Chrystusa Jezusa”.

Zuzia była szczera, nie kryła się z niczym. Przyznała, że będąc zarozumiałą nie może znieść, gdy któraś z koleżanek inną wynosi ponad nią. Sama zaś nie może inaczej, jak tylko z pogardą patrzeć na gorsze od siebie. Wyznała, że Frania wywołuje u niej zazdrość, innymi zaś, szczególnie Aimée, z całego serca pogardza.

Wszystko, co na jej wyznanie miałem do powiedzenia, ująłem mniej więcej w ten sposób: pycha jest jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych, jest głupim, pochodzącym z egoizmu nadmiernym cenieniem własnej osoby. Powiedziałem jej, że odpuszczenia grzechów można dostąpić jedynie przez serdeczną skruchę i prawdziwą pokutę. Gdy wymówiłem słowo pokuta, chociaż wymówiłem je bardzo łagodnie, przeraziło ono Zuzię tak bardzo, że zdołałem to zauważyć i zaraz ją zapewniłem, iż nie będę dla niej surowy.

— Pokuta, moje dziecko, składa się z następujących czynności: żalu, wyznania i zadośćuczynienia. Łzy żalu widziałem już w twoich oczach (niestety, były to łzy pochodzące raczej ze złości i gniewu niżeli żalu), powinność wyznania już także spełniłaś, pozostaje jeszcze zadośćuczynienie.



— A co to będzie za zadośćuczynienie? — przerwała przełęczona Zuzia.

— To będzie to, czego żądam od ciebie teraz — odpowiedziałem z powagą.

— Ach, drogi ojcze — zaczęła Zuzia, spoglądając na mnie błagalnie.  
— Nie nalegaj proszę na mnie, abym przeprosiła Aimée lub pojednała się z Franią.

— Zanim ode mnie odejdiesz — mówiłem z namaszczeniem — muszę powiedzieć o zadośćuczynieniu, jakiego wymaga kościół. Zadośćuczynienie polega na sumiennym odmówieniu modlitw lub spełnieniu dobrych uczynków, jakie ksiądz nałoży.

— Dobry ojcze — jestem gotowa zmówić tyle modlitw, ile tylko uznasz za słuszne — odpowiedziała Zuzia.

— Będziesz więc, córko moja, jutro rano klęcząc modlić się — i wyzna-  
czyłem jej nie wiem już jaką liczbę modlitw. Takim głupim, łagodnym sposobem starałem się obwiązywać, leczyć głębokie rany grzechu, a przez to tej grzesznicy, która już i tak była zadowolona sama z siebie, dałem jeszcze większy powód do samozadowolenia. Dolałem jeszcze oleju do ognia, zamiast go gasić, a jakże wielu czyni tak aż do dziś!

Gdy odesłałem Zuzię, natychmiast weszła Frania. Wyznanie jej było podobne do wyznania Zuzi, tyle tylko, że Frania skarżyła się na Zuzię. U Frani zauważyłem jednak rzecz o tyle gorszą, że chytrze zważała na słowa i starała się ukryć własną winę. Dlatego nie zadowolilem się w jej przypadku taką karą jaką zadałem Zuzi, ale podwoilem liczbę modlitw i kazałem jej odmawiać je wieczorem, gdy już jest ciemno, podczas gdy Zuzia miała to czynić rano.

Jakże się dzisiaj wstydzę, gdy przypomnę sobie moje głupie postępowanie! Jakaż to głupota — modlitwę, ten najwspanialszy przywilej chrześcijan, który ma być dla nas największą radością, nałożyć komuś jako karę.



Odesłałem Franię i kazałem zawołać Aimée. Nim jednak weszła, chodziłem po pokoju, dziwnie zaniepokojony historią z obu dziewczynkami, a w szczególności pytaniem Zuzi: jakiego zadośćuczynienia zamierzam od niej żądać. To pytanie naprawdę bardzo mnie zaniepokoiło i ciągle zajmowało moje myśli. Widziałem wyraźnie, że ona słusznie mogła oczekiwać ode mnie, że będę chciał zmusić ją do pojednania z tymi, wobec których za-



winia. Wszak tego domagał się zdrowy rozsądek i nawet najsłabsze poczucie sprawiedliwości. Ja natomiast nie żądałem tego tylko dlatego, że by nie wzbudzić przeciwko sobie ich gniewu.

Nie ma rzeczywiście dla człowieka nic tak przykrego, jak upokorzenie. Każdy łatwo znieśie kary cielesne, cierpienia i katusze, ale w ich następstwach człowiek zostaje uspokojony i staje się zadowolony z siebie, dochodzi do przekonania, że jest wystarczająco dobry i w ten sposób je- szcze bardziej oddala się od Boga i życia wiecznego. Tym samym jest da- lej od Boga, niż wtedy, gdy po uszy tkwi w jakimś przestępstwie.

Zrazu wmaślałem sobie, że postąpiłem sumiennie, ale później pojawi- ło się pytanie: Czy zrobiłeś chociaż cokolwiek, żeby te dumne serca przy- prowadzić do pokory? Po tym pytaniu pojawiło się następne, o wiele ważniejsze, czy moim postępowaniem nie przyczylniłem się do tego, że te dzieci jeszcze głębiej pograżają się we własnym grzechu.

— Czy w ten sposób nie uspiłem ich sumienia?

Pytania te tak bardzo mnie zaniepokoiły, że drżałem ze strachu. Czu- łem, że zrobiłem coś niedobrego.

Ledwie trochę stumiłem w sobie te przykre myśli, usłyszałem lekkie kroki, a obejrzawszy się, zobaczyłem małą, wątłą postać wchodzącą do pokoju. Była to ubrana w białą sukienkę Aimée. Wpadając z zewnątrz powietrze poruszyło jej lekką sukienkę i jasne loki. Światło padające na nią, gdy zbliżała się wolnym krokiem, nadawało jej twarzy niezwykły, wprost nieziemski wyraz.

Patząc na tę drobną, anielską postać i spojrzawszy w jej niebieskie oczy, jakby trochę przeleknione, a przy tym pełne niebieskiego pokój, że nie potrzebuje niczego ukrywać, mimo woli przyszło mi na myśl zmar- twychwstanie zbawionych, gdy w uwielbionym cieple będą zabrani tam, gdzie będą przebywać sprawiedliwi wybrani Pańscy. Myśl ta jeszcze moc- niej mnie przejęła, gdy stanęła przede mną Aimée, a ja jej po ojcowsku podałem rękę. Dobroć jaka promieniowała z jej buzi mogła pochodzić je- dynie z góry.

Wzruszony powtórłem ją tymi słowami:

— Zbawiciel ludzi i Pan Zastępów niech cię błogosławi, moje drogie dziecko. Jak cię tutaj na ziemi nazywają «Aimée» czyli «ukochaną», tak bądź umiłowaną również w niebie.

Potem poprosiłem ją, aby opowiedziała mi o tym wszystkim co wyda- rzyło się poprzedniego dnia. Jej opowiadanie dało mi sposobność pozna- nia pewnych szczegółów z jej życia. Króciutko opowie teraz, czego dowiedziałem się o jej życiu, spróbuję to zrobić jej własnymi słowami:



— Urodziłam się w Anglii — tak zaczęła Aimée — i całkiem dobrze pamiętam dom moich rodziców. Mieszkaliśmy w pięknym, białym domu z wielkim ogrodem, pełnym najpiękniejszych kwiatów i z wielkim lasem w pobliżu. Dom stał na wzgórzu, tak, że z naszych okien widać było pasące się na polach stada, dalej modre pagórki, gromadki domostw i małe gaje.

Las był tak blisko, że latem przez otwarte okno dochodził do pokoju szelest liści, miły świergot ptaków, szmer leśnego strumyka i brzęczenie pszczoł. Mój tatuś często zwracał moją uwagę na rozmaite dźwięki, jakie dochodziły do nas z lasu. Dlatego kiedykolwiek dziś słyszę coś podobnego, zawsze myślę o moim domu, o dobrym, drogim tatusiu, który często chodził ze mną po lesie, wszystko mi pokazywał i o wszystkim opowiadał. Mówił mi o tym, że ręka Tego, który za nas umarł na krzyżu, wszystko to uczyniła i jak w tym wszystkim objawia się Boża dobroć, mądrość i wielkość. Wtenczas żyła jeszcze moja ukochana mamusia. Dobrze jeszcze pamiętam, jak wyglądał pokój, w którym się ubierała i gdzie miała swoją gitarę. Widzę wyraźnie wszystko, co stało w pokoju, w którym bawiłam się przy mamusi. Często wieczorem sadzała mnie na kolanach. To ona uczyła mnie czytać, a gdy byłam pilna i grzeczna całowała mnie. O, jak szczęśliwa byłam z moją mamusią! Z jej twarzy mogłam wyczytać, że bardzo kochała Boga, do którego często się modliła. Gdy mówiła ze mną o Panu Jezusie, oczy jej jaśniały dziwnym blaskiem, wiedziałam, że bardzo kocha swego Zbawiciela. Miałam także braciszka o rok ode mnie starszego, którego loczki były tak śliczne jak jasny jedwab, a oczka modre jak bezchmurne niebo. Miałam również maleńką siostrzyczkę, która wyglądała we śnie jak aniołek. Później jednak nastały smutne czasy. Przy tych słowach grube łzy zaczęły spływać po jej twarzyczce.

Najpierw umarła moja siostrzyczka, potem braciszek — oboje na chorobę zakaźną. Mnie odesłano z domu, abym się nie zaraziła i już więcej do domu nie wróciłam, bowiem moi rodzice umarli. Odtąd jestem tutaj. Nie wiem, dlaczego właśnie tutaj mnie oddano. To tylko wiem, że w Anglii nie mam już domu.

Mówiąc to, otarło to drogie dziecię łzy i popatrzyło na mnie, jakby oczekiwało dalszych pytań.

— Czy czujesz się tutaj szczęśliwa? — zapytałam wzruszony.

— Tak ojcie — odpowiedziała — pani Rullée jest dla mnie bardzo dobra.

— Nie masz zatem żadnych kłopotów?

— Żadnych, ojcie, bylebym mogła znowu mieć moją książeczkę.



— Czy tak bardzo kochasz tę książeczkę?  
 — To była książeczka mojego braciszka — odpowiedziała Aimée i znowu grube kły popłynęły po jej policzkach. — Ach, czy dostanę ją z powrotem?  
 — Ależ moje dziecko, ta książeczka nie jest dla ciebie. Ja myślę, że ty sama o tym dobrze wiesz, ponieważ się z nią ukrywasz. Dlatego tak czynisz? Czy postępowalabyś tak, gdybyś czytanie tej książki uważała za słuszne?  
 — Ależ nie ojcie — rzekła patrząc na mnie mile — nie dlatego. Robię tak, ponieważ wiem dobrze, że tutaj nikt nie dba o to, co jest napisane w tej książeczce, a co czyni mnie tak szczęśliwą.  
 — No, a cóż to jest, co cię tak uszczęśliwia? — zapytałem.  
 — To, czego się uczyłam, gdy byłam jeszcze małą, a o czym zawsze, zawsze muszę myśleć.  
 — Czegoż to uczyłaś się, moje dziecię?  
 — Tego, co często mówił mi mój kochany tatuś i moja mamusia — rzekła z prostotą.  
 — A skądże ja mogę wiedzieć, moja Aimée, co ci oni mówili? Wytłumacz mi to lepiej.  
 — Uczyli mnie, że moje serce jest złe i że nic dobrego ani pomyśleć, ani uczynić nie mogę bez pomocy Ducha Bożego, że muszę prosić Boga o tę łaskę, aby mi dał swego Ducha Świętego i sam wszystko we mnie wykonał.  
 — Mów dalej — odezwałem się, gdy umilkła.  
 — Uczyli mnie także, że Pan Bóg posłał swego Syna, aby On za mnie umarł i że Jego krew czyni mnie czystą i niewinną. Mówili mi, że muszę kochać Biblię ponad wszystko na świecie i pilnie ją czytać, bo w niej Bóg mówi do mnie o śmierci swego umiłowanego Syna i o wierze w Niego. Mówili, że tutaj jest napisane wszystko, czego On chce, abym czytała.  
 — Ależ jakże może takie dziecko jak ty rozumieć Biblię? — pytam.  
 — Ja nie wiem, ojcie — odrzekła z prostotą.  
 — Czy ty uważasz, że rozumiesz Biblię? — zapytałem, przyciągając ją do siebie.  
 — Ja nie wiem, bo ja nie mam całej Biblii; moja książeczka zawiera tylko część Biblii, a jednak ta mała książeczka uczy mnie tak wielu ważnych rzeczy.  
 — Czego na przykład?  
 — Mówi mi o wszystkim, co uczynił dla mnie mój Zbawiciel: że wyzwoił mnie z grzechów, że stał się moim dzieckiem, a potem umarł za



moje grzechy na krzyżu. Gdy o tym czytam, czuję jak Pan Jezus ciągnie moje serce ku sobie i wiem na pewno, że jest ze mną, chociaż nie mogę Go zobaczyć. W mojej małej książeczce są obietnice o szczęśliwym kraju, gdzie znajdę dom lepszy i szczęśliwszy od tego, jaki tu na ziemi utraciłam, gdzie zobaczę znowu mojego tatusia i mamusię, braciszka i siostrzyczkę.

Gdy czasem jestem sama w ogrodzie czy gdzie indziej i mam chwilę spokoju i mogę bez przeszkód czytać tę książeczkę, to zawsze potem przychodzą radosne myśli, a gdy zasnę, śnią mi się piękne sny. Kiedyś śniło mi się, że już przyszedł ten czas, kiedy Jezus królować będzie nad całą ziemią, innym razem widziałam we śnie wzgórze podobne do mojej ziemi rodzinnej. Tam przyszli do mnie, mamusia i tatuś z braciszkiem i siostrzyczką, wszyscy ubrani jak aniołowie Boży w białe szaty. Towarzyszył im Pan Jezus – mój kochany Zbawiciel. O, jak się radowałam, patrząc na Niego i na szczęście moich ukochanych. Gdy widzę czasem coś, co mnie cieszy, wspominam sobie zawsze to, co mi się śniło lub co czytałam. Szczególnie te wszystkie rzeczy przypominają mi pewna dolina wśród lasu, gdzie często przebywałam w zeszłym roku. Albo gdy słyszę muzykę, dźwięk dzwonu lub organy w Kościele, wtedy moje serce napętniają uczucia wypływające ze wspomnień przeszłości tak, że tęsknię za tą chwilą, gdy będę mogła odejść do mojego Zbawiciela i moich drogich. Wiem jednak, że nie mogę się niecierpliwić, ponieważ Ty miły ojciec, pani Rullée i inni, też jesteście dla mnie bardzo dobrzy.

– Mówisz tylko o dobroci, droga Aimée, czy nie masz powodu do żadnych skarg? Nie żywisz żadnej niechęci do swych koleżanek? Wiesz przecież, że takie uczucia powinnaś wyjawiać.

Popatrzywszy na mnie z pewnym zdziwieniem, powtórzyła słowo „niechęć”, jakby nie rozumiała znaczenia tego słowa.

– Powiem ci wyraźnie, Aimée: czy dziewczęta zachowują się wobec ciebie zawsze tak uprzejmie, że nigdy nie czujesz do nich żadnej niechęci, żadnego gniewu? Miłujesz każdą?

– Wczoraj niedobrze wobec mnie postąpiły – odpowiedziała Aimée.

– Czy nie zdarza się to częściej?

– Myślę, że nie – odpowiedziała.

– Czy to ma znaczyć, że w ogóle o nie nie dbasz?

– Ależ nie! Ja je kocham, tak, myślę, że je kocham – odpowiedziała.

– A więc nie zauważyłaś, że są wobec ciebie niegrzeczne?

– Nie zauważyłam, aby były wobec mnie niegrzeczne, chociaż między sobą jakoś się nie znoszą.



Ale czy możemy spodziewać się czegoś innego? Czy serca nasze nie są złe, miły ojciec? Myśląc o mojej ojczyźnie w niebie łatwo znośę to, że są niegrzeczne wobec mnie. Jakże jestem szczęśliwa, kiedy jestem sama w moim kąci i spoglądając na zachodzące słońce myślę o tej chwili, gdy pójdę do nieba. Nie potrafię ojciec opowiedzieć, co wtedy dzieje się w moim sercu.

— Tak, ponieważ myśli twoje zajęte są tymi sprawami, unikasz sporów z innymi dziewczętami. Skoro tak, kochana Aimée, to jesteś bardzo szczęśliwa, szczęśliwsza i bardziej błogosławiona aniżeli wszystkie inne dzieci, jakie dotąd poznałem. Powiedz mi jeszcze, córko, jak dawno twoje serduszko zajmuje się tymi sprawami?

— Nie myślę, drogi ojciec, że jestem szczególnie pobożna i nie zawsze zajmuję się rzeczami niebieskimi. Nieraz muszę zapłakać nad myślami jakie pojawiają się w moim sercu i wstydzę się ich przed Bogiem i przed ludźmi. Naprawdę, nie jestem dobrym dzieckiem. Pani Rullée mówiła, że ludzie pobożni są dobrzy. Oni z pewnością mają zupełnie inne serce niż moje. Już wiele miesięcy upłynęło od śmierci moich najbliższych i od tego czasu nic mnie w świecie nie cieszy, tylko ta myśl, że zobaczę Pana Jezusa, moich rodziców, braciszka i siostrzyczkę. Ale wiem też i to, że ich nigdy nie będę oglądać, jeżeli nie będę słuchała i miłowała mego Zbawiciela. Wszystkie te myśli codziennie na nowo do mnie wracają i stale muszę się nimi zajmować.

— Dlaczego miałabyś się nimi nie zajmować, drogie dziecko, przecież one są twoim szczęściem i przypominają ci twoje powołanie. Gdybyś się jednak zwróciła do Panny Marii, do błogosławionych i świętych, moja córko? Czy nie myślisz, że łatwiej dostąpiłabyś tego, czego pragniesz, gdyby oni złączyli swe modły z twoimi?

Mówiąc to wskazałem na obraz, zachęcając Aimée, aby zwróciła uwagę na pełen miłości wyraz twarzy Panny Świętej.

— Obraz nie może mnie słyszeć — odpowiedziała.

— Ale ta, którą ten obraz przedstawia, może cię słyszeć i wysłucha, moja Aimée. Ona wstawi się za tobą do Boga i tak osiągniesz wszystko, czego pragniesz.

— Ale czy Panna Maria nie była człowiekiem, kobietą? — pytało dziecko z powątpiewaniem.

— A jednak, — powiedziałem, — ponieważ nasz Pan i Zbawiciel był prawdziwym Bogiem, dlatego Ona, Jego Matka, Matka Boża, jest godna, abyśmy się do niej modlili.

Spuściwszy oczy nic nie odpowiedziała. Dopiero gdy powtórzyłem nie-



które z moich słów, wtedy spojrzawszy na mnie, zapytała:

— Miły ojciec, czy ty modlisz się do świętych? Czy to dobrze modlić się do nich? Moja matka powiedziała mi kiedyś, że nie ma innego imienia danego ludziom, przez które moglibyśmy być zbawieni, tylko Imię Pana Jezusa Chrystusa.



Nadmieniłem już przedtem, że niepokoiły mnie wątpliwości odnośnie prawdziwości nauki mojego kościoła, ale w tej chwili zabłysnął w mojej duszy jasny promień, gdy ta mała dziewczynka, nie mając pojęcia o ostrości swego obosiecznego miecza, ani też o moim zakłopotaniu, stała przede mną. Wtem odezwał się dzwon i dopomógł mi w tej kłopotliwej sytuacji. Wstałem i powiedziałem jej, że czas upłynął i że dłużej nie mogę się zatrzymać. Pożegnałem ją krótko, zapewniając, że nie tylko oddam jej tę małą książeczkę, ale zezwalam jej czytać ją kiedykolwiek i gdziekolwiek zechce. Resztę dnia, jaka mi pozostała spędziłem na głębokim rozmyślaniu. Dziecko to jest protestantką, mówiłem do siebie, nasz kościół nazwałby ją tak na podstawie tego, co powiedziała. A jednak w jej słowach nie było ani śladu złośliwości lub zaczepki, a tylko pokój i prawda. Wszak ona nawet nie zauważyła, jak wielka jest różnica pomiędzy naszą religią, a tym w co ona wierzy. Nie odczułem też u niej żadnego uprzedzenia i niechęci do naszego Kościoła. Jej wiara wypływała całkowicie z treści Pisma Świętego — tego nauczyli ją jej zacni rodzice, a jeśli drzewo poznaje się po owocu, to owoc, jaki to dziecko przynosi chlubnie świadczy o jego wierze i źródle, z którego ta wiara płynie.

W trakcie tych rozmyślań pojawiła się myśl, aby odszukać starą łacińską Biblię, która należała kiedyś do pewnego księdza w Genewie, a obecnie cała okryta kurzem leżała w kącie pomiędzy moimi książkami. Odnalazłem ją więc i zacząłem porównywać jej treść z nauką mego kościoła. Zaraz na wstępie uderzyła mnie różnica pomiędzy Słowem Chrystusa (Mat. 15,19), a jedną z odpowiedzi w katechizmie, według którego nauczalem. Pismo Święte mówi: „*Z serca bowiem pochodzą złe myśli, zabójstwa, cudzołóstwa, rozpusta, kradzieże, fałszywe świadectwa*”. Natomiast katechizm ucząc o usprawiedliwieniu człowieka poprzez jego własne uczynki, jakby nic o tym nie wiedział, że serce człowieka jest złe. Im więcej rozmyślałem o tych rzeczach, jak to nauka ludzka i Boże Słowo mogą być ze sobą sprzeczne i im jaśniej poznawa-



łem, że prawda może być tylko po jednej stronie, tym bardziej wzmagały się w sercu moim niepokój i trwoga. Ponieważ nie osiągnąłem żadnej pewności, postanowiłem niczego nie mówić pani Rullée o duchowym stanie Aimée.

Burza, która szarpała moim sercem i wzbudziła we mnie takie myśli, trwała kilka dni. W tym czasie przechadzałem się po najbardziej ukrytych miejscach lub zamykałem się w mojej kancelarii. Byłem świadomy tego, że ludzie nie mogą mi dać i nie dadzą żadnej odpowiedzi, która by mnie uspokoiła. Unikałem tedy spotkania z ludźmi, zwracając się raczej w skrytości do Tego, który jest Prawdą i sam jeden może poprzez swego Ducha oświecić biednych grzeszników. Pogrążony w myślach i spragniony pociechy, przechadzałem się po najgłębszej części lasu i choć moje myśli nieco się uciszyły, pokoju jednak nie znalazłem. Serce moje tkwiło bowiem jeszcze zanadto w tym świecie, a odziedziczone przesady były głęboko zakorzenione w moim sercu.

Zuzia i Frania odmówiwszy tymczasem wyznaczone im modlitwy uważały, że grzechy zostały im odpuszczone. Obie też powróciły do swych dawnych słabości i gniewów i jak dawniej korzystały z każdej sposobności, aby sobie wzajemnie dokuczyć, a ponieważ reszta wychowaniek także się do tego przyłączyła, dawna nienawiść tak się spotęgowała, że Pani Rullée nie była w stanie utrzymać ładu w zakładzie. Po daremnym upomnieniu znowu posłała po mnie, prosząc o pomoc. Przyrzekłem jej, że napomnę dziewczęta; dlatego zawołałem je do salonu, który w zakładzie służył wyłącznie do organizowania uroczystości, a w którym dawniej z taką radością nauczałem.

Za podstawę mego napominania wziąłem nie słowa Pisma Świętego, ale bogatą różnorodność kwiatów, jaką znajdujemy w starannie utrzymanych ogrodach. Powiedziałem im mniej więcej tak: „Znowu, córki moje, wasze serca opanowała zazdrość i nienawiść, a dlaczego opanowała? Dlatego, ponieważ chcecie błyszczeć, wynosić się jedna nad drugą, często nawet dla zalet, jakich wcale nie posiadacie. Sądzę, że nie potrzebuję wam dowodzić, iż wasze postępowanie jest nie tylko wielkim grzechem, ale że jest to zarazem skończone głupstwo. Jak widzę, wy wcale nie zdajecie sobie z tego sprawy. Ojciec Niebieski dał każdemu swemu dziecku piękne i dobre dary, jakieś szczególne zalety. Spójrzcie na przykład na śliczne kwiaty w ogrodzie. Jedne z nich już z daleka zwracają naszą uwagę swoimi kolorami, inne napełniają powietrze miłą wonią, jeszcze inne posiadają cenne własności lecznicze. W niektórych piękno i wartość są tak ukryte, że dopiero przy dokładniejszym badaniu można je od-



należć i dopiero wtedy wzbudzają nasz podziw.

Niektóre z nich mają tylko jeden przymiot, inne mają ich więcej, a znowu inne łączą w sobie wszystkie zalety. Wszystkie razem jednak, na zewnątrz i wewnątrz, są tak doskonale wykonane, że wszelka ludzka mądrość daremnie by się siliła podrobić choćby najskromniejszy z nich. Idźcie do lasu i badajcie listki drzew, porównajcie jeden z drugim, przypatrzcie się sieci żyłek, tej nieskończonej różnorodności; wśród tylu milionów nie znajdziecie dwóch, które byłyby zupełnie do siebie podobne. A czy możecie mi powiedzieć, że jeden z nich jest godny pogardy? Czy możecie powiedzieć o jednej roślinie, że nie ma od niej piękniejszej, a o drugiej, że jest brzydka i nie powinna istnieć? Tak moje rozkwitające córki, ma się rzecz z wami: każdej z was Pan Bóg darował jakieś szczególne piękno, jakąś wewnętrzną lub zewnętrzną wartość, jakiś nadzwyczajny, miły, przyciągający przymiot i właśnie dlatego jesteście sobie równe i to bardziej niż by to się komukolwiek mogło wydawać. Według tego doskonałego prawa nie ma róża pierwszeństwa przed fiołkiem, ani przepyszny tulipan nie ma powodu zazdrościć lilii jej cudnej białości. Wszystkie są w swoim rodzaju piękne, we wszystkich uwielbiona zostaje Boża wszechmoc”.

Skończywszy to kwieciste przemówienie, które wprowadziło schlebiali mojej próżności i wydawało mi się doskonałe, ale na moich słuchaczach nie wywarło oczekiwanego skutku, pozwoliłem im odejść. O, gdybym był wtedy wykorzystał tę sposobność i starał się przywieść je do poznania ich skażonego serca i przyprowadzić do Niego, do Chrystusa!



Tego samego dnia poszedłem w odwiedziny do zamku, tam zastałem również panią Rullée, której pani baronowa opowiedziała, że ma zamiar w dniu swoich imienin sprawić wychowankom zakładu jakąś przyjemność i dlatego prosi je na ten dzień do siebie. Pani Rullée uważała za swą powinność powiadomić tę szlachetną panią o nieporozumieniach i niezgodzie wśród dziewcząt, aby jej dobroć nie wyszła im na gorsze. Po chwili namysłu pani baronowa rzekła:

— Pozdrówcie ode mnie wszystkie młode damy i powiedzcie im, że zapraszam je do siebie. Tegoroczne moje imieniny będą uroczystością kwiatową, życzę więc sobie, by każda z dziewcząt przyszła ozdobiona wieńcem z takich kwiatów, które najbardziej lubi. Ja zaś tę młodą damę,



której wieniec najbardziej mi się spodoba, ozdobię koroną. Aby nie była stronnicza lub żeby się co do gustu nie pomyliła, każę dołączyć do korony mirtowej pewien wierszyk, według którego będę się starała rozstrzygnąć, do kogo ona ma należeć.

Pani Rullée zapewniła baronową, że uczyni zadość jej życzeniu, ja zaś, ciekawy, zapytałem o wierszyk wybrany na ten cel.

— Zapewniam cię ojczy, że cię zadowoli — odpowiedziała baronowa.  
— Nie mogę wszakże ujawnić jego treści, aby ktoś, mając wśród dziewcząt swoją ulubienicę, nie zdradził tajemnicy. W takiej sytuacji nie dałoby się już potem nic zrobić.

Wzruszywszy ramionami milczałem. Pani Rullée pośpieszyła, aby zawiadomić swoje wychowanki o zaproszeniu pani baronowej. One zaś następnego dnia po skończonej nauce poprosiły mnie, abym zechciał przyjść do nich na kolację i poradził im jak mają przygotować się na tę kwiatową uroczystość. Gdy tylko się zjawiłem, zaczęły zasypywać mnie pytaniami, na które nie bardzo potrafiłem odpowiedzieć.

— Jak sądzisz ojczy, której z nas da pani baronowa koronę? Tej, która będzie miała najładniejszy wieniec czy tej, którą najbardziej lubi?

— Co do piękna wieńca, — odpowiedziałem — to trudno coś powiedzieć z tego powodu, że różne są upodobania. Jeden uważa, że najpiękniejsza jest róża, inny natomiast daje pierwszeństwo jaśminowi, bo ten bardziej nadaje się na wieniec.

— Sądzisz więc, — zapytała jeden z dziewcząt — że pani baronowa da koronę tej, która będzie miała najśliczniejszy wieniec?

— Nie wiem i również w tej sprawie nie mogę nic powiedzieć — stwierdziłem.

— Ale nam się zdaje i jesteśmy tego prawie pewne, że ty ojczy jesteś w to wszystko wtajemniczony — rzekła panna Wiktorja.

— Choćby tak było — odrzekłem — to i tak nie powiedziałbym nic i nie dopomógłbym nikomu odnieść zwycięstwo, ale zachowałbym tajemnicę do końca.

Odpowiedź taka z pewnością rozgniewałaby pannę Wiktorję, gdyby nie była świadoma, że wcale o jej gniew nie dbam.

Toteż, nie dając po sobie niczego poznać, dalej naradzała się ze swymi ulubienicami, jakie wybrać kwiaty. W rezultacie postanowiono, że każda wybierze sobie jeden kwiat i że najstarsza ma prawo wybierać przed innymi. Zuzia wybrała różę, Frania mówiła, że jest zdecydowana wybrać ozdobę królewską i wybrała lilię (królowie z rodu Bourbonów mieli w herbie lilie), inna wybrała jaśmin, jeszcze inna kwiat głogu, itd. Aby



ozdoba była w miarę możliwości najładniejsza, dziewczęta wykorzystywały czas dzielący je od uroczystości, na pielęgnowanie kwiatów przeznaczonych na wianki.

Wieczorem, w wigilię uroczystości, przechadzałem się z panią Rullée po ogrodzie, rozmawiając z nią o religii i o życiu ludzkim w ogóle, o czym zwykle rozmawialiśmy, gdy byliśmy sami. Wielkie, ogólne zamieszanie tak podziało na moją starą przyjaciółkę, że poniekąd zachwiało ją w jej dotychczasowych poglądach. Również w moim umyśle i duszy powstał chaos, tak, że gdyby ludzie znali stan naszych dusz, uważaliby nas za kaczerzy. Zamieszanie to było jakby widocznym dziełem księcia ciemności i samo w sobie było naprawdę okropne, a jednak Pan Bóg, który nad wszystkim panuje i wszystkim kieruje według Swojej woli, nawet i to potrafi użyć, aby niejedną duszę uwolnić z sidła szatana.

Rozmawiając o rzeczach, które leżały nam na sercu, usłyszeliśmy nagle w gąszczu ogrodu gniewne głosy. Znajdowało się tam kilka ławek. Przystanęliśmy chwilę i spoglądając przez gałęzie drzew zauważyliśmy, że niektóre z mniejszych dziewcząt zgromadzone były wokół Aimée. Podziwiała one mały upleciony z powoju wianek, którym Aimée ozdobiła swoją lalkę.

Te okrzyki zwabiły niektóre większe dziewczęta, między innymi Zuzię i Franię. Zuzia podziwiając ten mały wianuszek orzekła, że Aimée wybrała najlepiej i że nikt nie pomyślał o wieńcu z powoju, tak pięknym i stosownym. Chcąc doczekać końca rozmowy, pozostaliśmy na miejscu.

— Patrzcie jaka ona chytra — mówiła Frania — jestem przekonana, że od początku myślała o takim wianku, ale milczała, żeby któraś ze starszych dziewcząt nie wybrała sobie tego kwiatu.

— Jeżeli miała taki zamiar, to powinna była dłużej strzec swej tajemnicy — rzekła Zuzia. — Dla nas starszych nic nie jest jeszcze stracone, my możemy zawsze zmienić nasz wybór. Ja sama już od kilku dni nie jestem zadowolona z wieńca uplecionego z róż, bo róża to taki zwyczajny kwiat. Postanawiam więc wybrać inny kwiat, a ponieważ szczególnie podoba mi się kolor tego powoju, więc obieram go na swój wieniec. A ty moja panienko poszukaj sobie innego.

— Owszem — odpowiedziała mile Aimée — a jeżeli chcesz, to pomogę ci upleść wieniec.

— A ty co sobie wybierzesz? — zapytała Zuzia. — Jeżeli chcesz, weź różę, z której ja zrezygnowałam.

— O, przepraszam — odparła na to Frania. — Jedynie Zuzia może przede mną wybierać, dlatego, że jest starsza ode mnie. Ponieważ ty Zu-



ziu zrzekasz się róży, ja ją wybieram i podaję wszystkim do wiadomości, że jutro przybiorę się w róże. A ponieważ każda z nas ma swój kwiat, żadna z was nie może ani jednego pączka róży wpleść do swojego wieńca.

To spowodowało pomiędzy przyjaciółkami Zuzi z jednej, a przyjaciółkami Frani z drugiej strony taką sprzeczkę, że w końcu sama pani Rullée musiała się w to wmieszać.

Poleciwszy obydwu dziewczynkom ostatecznie wybrać sobie kwiat, nie przyczyniła się jednak pani Rullée do tego, co ja uważałam za właściwe, a mianowicie, aby Aimée otrzymała swój wieniec z powrotem. Widocznie nie chciała zbytnio drażnić Zuzi i Frani.

Ja uważałam, że nie powinienem mieszać się do tej kłótni, że nie jest to sprawa wielkiej wagi i dałem temu spokój.

Zuzia wzięła z powrotem różę, chyba tylko dlatego, że Frania już się nią cieszyła. Natomiast Frania obrała powój, który rzeczywiście był bardzo ładny.



Po zakończeniu tego sporu pożegnałem się z panią Rullée i poszedłem. Przy drzwiach prowadzących do ogrodu przybiegła do mnie mała Aimée i podając mi drobną rączkę zapytała:

— Miły ojciec, prawda, że co poranka wychodzisz na przechadzkę?

— Tak moje dziecko — odpowiedziałem.

— Czy pozwolisz mi pójść jutro ze sobą? — pytała dalej. — Pani Rullée już mi pozwoliła, weź mnie jutro ze sobą do lasu.

— Ależ chętnie, moje dziecko, tylko po co mam iść z tobą do lasu?

Z miłym uśmiechem na twarzy i tak samo miłym tonem w głosie odpowiedziała na moje pytanie, recytując wierszyk w swym ojczystym języku:

*Kwiat ogrodowy w swej wspaniałości  
Królewskim błyszczy przepychem,  
Kwiatek leśny w swej skromności  
W ukryciu chowa się cichym.*

Już chciałem zawołać: „Dziecko, skąd wzięłaś tak piękne słowa! Jakie wspaniałe myśli wypełniają twoje serce!” Ale powstrzymałem się



i powiedziałem jedynie:

– Jutro rano o szóstej będę czekał przy furtce, pamiętaj moja Aimée i nie spóźnij się.

Jeszcze rosa, jak lśniące diamenty, błyszczała na każdym listku, gdy następnego poranka zapukałem do bramy prowadzącej do ogrodu. Aimée niosąc śliczny koszyczek w ręku, wybiegła gotowa do drogi.

– Dzień dobry moja mała towarzyszeko – powiedziałem – błogosławieństwo Boże niech spocznie na tobie, moje kochane dziecko. Gdzie to się wybierzemy?

– Do lasu, drogi ojciec. – Odpowiedziała. – Znam tam pewne ciche miejsce, gdzie jest pełno kwiatów, z których chcę zrobić wianek. Obawiałam się, aby któraś z dziewcząt nie wybrała moich ulubionych leśnych kwiatów, dlatego byłam cicho i w ogóle o nich nie wspominałam. Jednak żadna z nich o tych kwiatkach nie pomyślała i one będą moje.

– Oj, oj – powiedziałem, uśmiechając się – to jest chytrość.

– Chytrość? – powtórzyła Aimée smutno – czy naprawdę, drogi ojciec, postąpiłam chytrze? To słowo mówi o czymś bardzo złym, a ja wolałabym nosić wieniec z mlecza, aniżeli być chytrą dziewczyną.

– A dlaczego nie chciałabyś nosić wianka z mlecza? – zapytałem z uśmiechem.

– Dlatego, gdyż jest to roślina trująca, bardzo trująca. Ale – mówiła dalej – czy to był naprawdę niedobry uczynek, że nic nie mówiłam o tych leśnych kwiatkach, aby ich nie obrała inna z dziewcząt? Ja naprawdę nie chciałabym być chytra. Ja wcale nie ubiegam się o koronę, którą pani z zamku chce włożyć komuś na głowę, a że chcę ozdobić się leśnymi kwiatkami, to zupełnie z innego powodu.

– Z jakiego, jeśli mogę zapytać?

– Powiem ci ojciec dopiero wtedy, gdy zobaczysz moje kwiatki. Teraz powiem tylko tyle, że na ten pomysł naprowadziło mnie przemówienie sprzed dwóch tygodni. Gdy przemawiałeś przypomniła mi się pieśń, której się kiedyś uczyłam i pewne piękne słowa, które usłyszałam w moim ojczystym języku od mojego tatusia. Gdy dowiedziałam się o uroczystości kwiatowej, wszystko to ładnie sobie w myślach ułożyłam i zaraz zdecydowałam się z jakich kwiatków uplotę sobie wieniec na tę uroczystość – choć wcale nie myślałam, że te kwiatki pozostaną dla mnie.

– Musisz mi to trochę dokładniej wytłumaczyć, moja Aimée, żebym mógł zrozumieć, jakie to myśli wzbudziły w tobie moje słowa, jaki to ma związek z tym co mówił twój ojciec, a jaki z piosenką, którą znasz



na pamięć? Opowiedz mi to wszystko dokładnie, moje drogie dziecko.

— Było to drogi ojcze tak: Porównałeś nas ojcze z rozmaitymi kwiatkami rosnącymi w ogrodzie, a mój drogi tatuś opowiadał mi kiedyś, gdy byłam bardzo mała, że Pismo Święte porównuje Kościół Boży do ogrodu, w którym rosną też takie różnobarwne rośliny i kwiaty. Nauczyłam się tych słów Pisma Świętego na pamięć i nie zapomniałam ich dotąd.

— No to powiedz mi je, moja córko — rzekłem, ukrywając moją nieznajomość Pisma Świętego, bo tego miejsca, o którym dziewczę wspominało, wcale nie znałem. Uśluchała i zaraz swym miłym głosem, zdradzającym przejęcie się tym, co mówi Słowo Boże, zaczęła:

*„Ogrodem zamkniętym jest moja siostra, oblubienica, ogrodem zamkniętym, źródłem zapieczętowanym. Wyrósłś jak gaj drzew granatowych z wybornymi owocami, kwiatami cyprysu i nardu. Nard i szafran, trzcina i cynamon z wszelkimi wonnymi krzewami, mirrą i aloesem, ze wszystkimi wybornymi balsamami. Krynica mojego ogrodu jest studnią wody żywej, która spływa z Libanu. Powstań wietrze z północy, i zerwij się, wietrze z południa, przewiej mój ogród, niech się rozplynie jego woń balsamiczna; niech przyjdzie mój miły do swego ogrodu i niech spożywa wyborne jego owoce”.*

— To są piękne słowa — powiedziałem — i bardzo dobrze je zapamiętałaś. Ale powiedz mi, kto właściwie wypowiada te słowa?

— Nasz Zbawiciel — odpowiedziała — mówi tak do swego Kościoła.

— Myślisz więc, że ten ogród zamknięty to Kościół prawdziwy, a kwiaty to lud Boży?

— Tak, ojcze, wierzę, że ludzie, którzy miłują Boga są jak rośliny w jego ogrodzie. Jedne z nich odznaczają się okazałym wzrostem, jak np. cyprys, inne są drobne i mniej okazałe, niektóre wydają smaczne owoce, inne orzeźwiają swym cieniem, jedne swym pięknem rozweselają oko, inne miłą wonią napełniają powietrze. Wszystkie zaś razem są ozdobą ogrodu i nie wolno pogardzać żadną rośliną, którą zasadził Ojciec Niebieski.

— Cóż myślisz, Aimée — zapytałem — czy i ty jesteś wszczepiona w ten wspaniały ogród?

Umilknąwszy na chwilę odezwała się skromnie:

— Życzę sobie, żebym była — tak, wierzę, że jestem latoroślą Pana Jezusa, bo raduję się w Nim, ale wiem też, że jestem tylko jedną z tych najmniejszych jego latorośli i że w ustronnych, cienistych okolicach jest moje miejsce. Myślę, że nie byłoby to dla mnie dobre, abym rosła



gdzieś na jakiejś wyżynie, lśniła się bogactwem kolorów i była podziwiana. Łatwo wpadłabym w próżność i pychę, gdyby mnie chwalono. Ja najgłębiej potrafię się cieszyć ze świętych, niebieskich rzeczy wtedy, gdy nikt z ludzi nie zwraca na mnie uwagi. W skrytości i samotności mogę najlepiej trwać w miłości Jezusa i w jego pokoju.

Jako prawdziwy Francuz, pełen zachwytu, już chciałem ją pochwalić za te słowa, ale jej ostatnia uwaga powstrzymała mnie w ostatniej chwili, powiedziałem tylko:

— Droga Aimée, twoi rodzice musieli naprawdę dołożyć wszelkich starań, gdy uczyli cię o tych rzeczach.

— Gdy mówili mi o Bożych sprawach, zawsze do tego używali Biblii — odpowiedziała. — A chcąc coś we mnie wszczepić, wskazywali mi na rzeczy w przyrodzie, mające związek ze słowami Pisma Świętego, tak, że lepiej mogłam to zrozumieć i zapamiętać. Stąd też nie ma prawie niczego czy to w ogrodzie, czy w polu, czy w lesie, co nie przypominałoby mi czegoś, czego nauczyłam się jako małe dziecko.

— Rodzice twoi, jak słyszę, używali specjalnego sposobu nauki, który rzeczy naturalne i duchowe łączy razem i jedne drugimi tłumaczy i w ten sposób udało im się tak głęboko wszczepić Boże prawdy w twoje serce, że nigdy ich nie zapomnisz. Masz rzeczywiście powód, aby Bogu dziękować, że dał ci takich rodziców.

Dwie grube, lśniące jak perły łzy, świadczące o jej serdecznej miłości do rodziców, spłynęły po policzkach Aimée, gdy odezwałem się do niej tymi słowami. Widząc to musiałem ją tym bardziej pokochać, podczas gdy moje zniewolone sumienie robiło mi ostre wyrzuty, że będąc księdzem zachęcam to dziecko, aby dziękowało Bogu, pomimo że było wychowane w błędzie. Ale zaraz też obudziły się we mnie nowe wątpliwości odnośnie prawdziwości nauki mojego kościoła i wywołały taki bój, że kroczyłem obok Aimée pogrążony w głębokim milczeniu. Dawno mineliśmy wieś i zamek i byliśmy tuż przy samym lesie, a ja ciągle jeszcze szedłem jakby we śnie, sam siebie nie rozumiejąc. Nie mogłem się doprawdy obudzić i wyjść z ciemności błędu; wyjść na światło prawdy. Nareszcie, gdy weszliśmy już w cienistą leśną zieleń, ocknąłem się z zadumy i zapytałem:

— Dokąd mnie prowadzisz, Aimée? Czy pójdziemy jeszcze daleko?

— Jesteś zmęczony, drogi ojczy? — zapytała. — Jeśli nie masz ochoty, to nie pójdziemy dalej, przecież mogę upleść mój wianuszek z jakiejkolwiek innej rośliny lub kwiatów, które tu rosną.

— Zmęczony w twojej obecności? Ach, gdzie tam, mógłbym przejść



z tobą cały świat. Ale słuchaj, wzbudziłaś w mej duszy rozmaite poważne pytania. Właśnie myślałem, jakie miejsce zajmuję w tym ogrodzie, o którym mówiliśmy.

Nie dała mi na to odpowiedzi, więc nie wiem, co sobie pomyślała. Pochwyciwszy wszakże moją rękę, pocałowała ją, co mnie bardzo wzruszyło. Chciała mi widocznie w ten sposób okazać swoją miłość, uważając to za lepsze niżeli schlebianie w rzeczach tak wielkiej wagi.

Ach, miała słuszość! Podczas gdy to skromne, proste dziecię już dawno przynosiło najwspanialsze owoce, to ja, teolog, nie byłem nawet prawdziwą latoroślą w tym Bożym ogrodzie.

Idąc dalej, znaleźliśmy się na szerokiej, równej ścieżce, wiodącej w głąb lasu. Tam, w pewnym szczególnie zacienionym miejscu, pokazała mi Aimée wąską ścieżkę, schodzącą z naszej drogi w dół i zapytała czy chcę z nią pójść.

Ścieżyna ta była mi dobrze znana, wiedziałem, że prowadzi w dolinę, przez którą płynął chłodny, czysty jak kryształ strumyczek. Dziwiło mnie jednak, że mała tak dobrze orientuje się w tym lesie, zapytałem więc, skąd tak dobrze zna to miejsce.

— Gdy zeszłego roku byłem chora — odpowiedziała — oddano mnie na pewien czas do domku w lesie, abym oddychając leśnym powietrzem prędzej wyzdrowiała. Miałam więc możliwość poznać miejsce, gdzie rosną te najpiękniejsze kwiatki i gdzie ptaszki tak mile śpiewają.

Nie zapomniałam tego miejsca — dodała z uśmiechem podskakując przede mną — dobrze pamiętam te radosne chwile, które tutaj spędziłam.

Mała moja przewodniczka zapomniała wszakże w swojej radości, że ja dużo wyższy, mam tysięczne przeszkody na tej zarosłej ścieżynie, podczas gdy ona przemykała się wszędzie lekko jak ptaszek. Gdy mi oznajmiła, że już niebawem dotrzemy na upragnione miejsce, poprosiłem, żeby sama pośpieszyła naprzód, ja zaś ostrożnie i powoli pójść za nią. Pobiegła więc tak szybko, że wnet straciłem ją z oczu. Szedłem tymczasem wolno naprzód gęsto zarośniętą ścieżyną, aż nareszcie dostałem się na miejsce, skąd można było widzieć głęboką dolinę, w której strumyczek rozszerzał się, tworząc śliczny, nieduży stawek.

Wilgotne brzegi stawu zieleniły się pięknie porośniętymi bujnymi kwiatami. Po przeciwnej stronie wyglądała z gęstwiny ruina chatki, której komin i drzwi jeszcze stały, podczas gdy pozostałe ściany i dach już dawno uległy zniszczeniu. Chata ta symbolizowała wyraźnie martwość i ściśle z nią związaną skazitelność wszelkiego ludzkiego dzieła, pod-



czas gdy wszystko naokoło wskazywało na żywe, odnawiające i rozmnażające się dzieło Boże. Promienie rannego słońca wspaniale oświeślały ciemny bór. Byłem zachwycony cudowną grą światła i cieni. Ptaki śpiewały, wolne od trosk, lekko i swobodnie wzbijając się ku Bogu; wiatr łagodnie szeleścił wśród liści. Przypominało mi to głos Boży w utraconym raju i świętą bliskość Boga, objawioną prorokowi Eliaszowi.

Wzrok rozkoszował się tym cudownym obrazem, słuch pieścił się szumiącym w dole małym wodospadem. Do głębi byłem przejęty tym dziełem Mistrza, któremu nie masz podobnego, który pracuje nie dźwiękiem i nie pędzlem, ale żywym słowem. Na chwilę pogrążyłem się w głębokim rozważaniu Jego chwały. Gdy wreszcie tam, w dolinie pokazała się Aimée, usiadłem na pniu, czekając na jej przybycie. Widziałem, jak tu i tam pilnie zbierała kwiatki kwitnące wśród wysokiej trawy. Tu schyliła się, napełniając swój koszyk, tam pobiegła jak sarenka przez kamienie na inne miejsce. Zanim upłynął kwadrans zobaczyłem, jak wspina się po skalistym wzgórzu i nareszcie zjawiała się przede mną z koszykiem napełnionym śnieżnobiałymi, wonnymi dzwonieczkami konwalii. Policzki pokrywał rumieniec, oczy lśniły radością, spełniło się bowiem jej życzenie. Zdawało się, że jej serce nie pragnie żadnych innych ziemskich rzeczy. Ja zaś czułem się tak, jakby mnie ten aniołek ze swymi konwaliami chciał odciągnąć od marność tej ziemi ku Temu, który zaszczerpił w niebieskim ogrodzie daleko piękniejsze kwiaty; takie, które tam, podobnie jak to dziecko, kwitną w błogosławionym królestwie wiary. Postawiwszy koszyk u moich nóg, rzekła:

— Widzisz ojcze, to są moje ulubione kwiatki, o których sobie przypomniałam podczas twego przemówienia, a o których myślałam już wtedy, gdy dowiedziałam się o uroczystości kwiatowej. Z nich uplotę dla siebie wianuszki. Róża jest symbolem piękna, wawrzyn sławy, inne kwiaty reprezentują inne cenne cnoty i przymioty, ale czymże są one w porównaniu z moją konwalią? Sam powiedz, drogi ojcze, czymże są wszystkie inne cnoty bez pokory?

— Aimée — zawołałem, pełen podziwu dla jej myśli i słów. — Aimée, dziecko drogie, kto cię nauczył tego wszystkiego?

Spojrzawszy na mnie niewinnie, odpowiedziała:

— Mój tatuś i mamusia uczyli mnie tych rzeczy. Tatuś powiedział mi pewnego razu, że konwalia oznacza pokorę, a gdy bawił się ze mną, nazywał mnie nieraz małą konwalijką. Ach, ojciec Baffre, jak bardzo pragnęłabym być rzeczywiście podobna do konwalii, która lubi wilgotne



doliny i miejsca zacienione, a już najbardziej strumienie żywych wód.

– Moje kochane dziecko – zawołałem – ty naprawdę jesteś taką konwalią; taką Bożą konwalią pragnę i ja się stać.

– O nie, ojcie – odpowiedziała Aimée uprzejmie. Ty nie możesz być konwalią. Ty musisz być drzewem, które zasadzone nad strumieniami wód, wydaje owoc we właściwym czasie, a którego liście nigdy nie więdną, ja – ja zaś chcę rosnąć w twoim cieniu.

Tymi słowy pokonała mnie do reszty. Byłem tak wzruszony, że nie mogłem powstrzymać się od łez. Widząc to Aimée schyliwszy się pocałowała z szacunkiem moją rękę i podniosła swój koszyk. Znalazłszy to, czego szukaliśmy, wyruszyliśmy w drogę powrotną. Wracając napotykaliliśmy wiele ślicznych kwiatów, które znajdowały tam odpowiedni grunt. Szczególnie naszą uwagę zwróciły leśne niezapominajki i pstra wyka. Dziwiliśmy się, dlaczego Pan Bóg te najpiękniejsze rzeczy rozsiewa w takich miejscach, gdzie nikt ich nie widzi i nie podziwia. Jednakże wkrótce zauważyliśmy, że cała przyroda wszędzie, na każdym miejscu składa się z samych godnych podziwu rzeczy i często ten najmniejszy twór jest właśnie tym najpiękniejszym. Człowiek powinien Boga miłować, aby mógł poznać Bożą dobroć, która tak cudownie objawia się w rzeczach stworzonych. Zacząłem poznawać ją lepiej, niż to miało miejsce w dawniejszym moim życiu, a to dlatego, że Jego Duch rzeczywiście rozpoczął działać i panować w moim sercu. Tu jawną stała się prawda, że bez działania Ducha Bożego człowiek nie może poznać ani Bożej dobroci ani Bożego gniewu. Nareszcie doszliśmy do naszej wioski. Pożegnawszy Aimée u wrót ogrodu, wróciłem do domu. Znalazłszy się u siebie, zamknąłem się w mojej kancelarii i zacząłem wyszukiwać w Piśmie Świętym wszystkie te miejsca, o których wspominała Aimée.

Do głębi wzruszony wypadkami tego dnia siedziałem nad otwartą Biblią, stawiając pytania i szukając na nie odpowiedzi z ust Bożych. A ten, który w swej wielkiej łasce zaprowadził mnie tak daleko, oświecił moją duszę jasnymi promieniami tego jedyne światła rozpraszającego ludzkie mroki.

Nie zapomnę nigdy tego dnia, ponieważ wieczorem byłem już innym człowiekiem.

Nie na próżno Duch Święty sprawował we mnie swoje dzieło. Wprawdzie nie miałem jeszcze ani męstwa, ani siły, by wyznać poznaną prawdę oraz by móc oddać za nią wszystko, ponieważ nie byłem jeszcze tym, który prawdziwie odpoczął i czuje się zupełnie szczęśliwym w ręku Syna Bożego.



Wieczorem, po zachodzie słońca, wybrałem się do zamku, dokąd byłem zaproszony. Na końcu długiej, lipowej alei, ciągnącej się od bramy aż do zamku, przedstawiał się moim oczom widok, który ponieważ odwrócił moje myśli od spraw, którymi tak mocno w tym dniu się zajmowałem. Wyobraźcie sobie, drodzy czytelnicy, budowle starożytną, przeszło dwustuletnią, nakrytą dachem z trzema rzędami otworów, podobnych do okien, które zamknięte drewnianymi okiennicami, dziwnie patrzyły z tych starych murów na świat.



Przed frontem starego zamku rozciągała się rozległa murawa, na której stał czworograniasty, mурowany zbiornik z obryzgiem posągów Trytona. Z rogu, na którym ten bożek trąbił, tryskał wysoko w górę strumień wody, wpadając z powrotem do zbiornika.

Po obu stronach trawnika było pełno naprzeciwnie sobie stojących mniejszych lub większych posągów, były małe gajki, altany i w końcu ogromna brama, wiodąca do wnętrza ogrodu. Wszystko to było tak urządzone, jak wymagał tego smak panujący wtedy w mojej ojczyźnie.

Na trawniku zostawiono stoły, a na nich owoce, kółeczka i różne inne potrawy. Na uboczu, na wolnym miejscu ustawiono podwyższenie dla orkiestry. Uroczystość tę zorganizowano dla mieszkanców wioski. Kto tylko chciał mógł w niej wziąć udział. Oprócz tego zaproszono ważniejszych osobistości; ta część towarzystwa skupiała się na górze wokół pani baronowej, reszta zgromadzonych zajmowała dolną część lub środek murawy. Zdawało się jednak, że wszyscy byli równie szczęśliwi, równie weseli i zadowoleni, bo spacerując nie zauważyłem ani jednej posępnej twarzy. Lecz omal nie zapomniałem opisać tego co najwazniejsze, a mianowicie to, co nadało nazwę samej uroczystości i co wszystkim zgromadzonym mówiło o jej charakterze. Był to posąg kobiety, stojącej na podwyższeniu w dolnym końcu murawy. Dzisiaj ten posąg miał przedstawiać boginię kwiatów, był więc bogato przybrany. Głowę bogini uwieczniono mirtową koroną z niebieską wstążką, na której widniał zło-tem haftowany napis. Wszyscy obecni spoglądali na tę tajemniczą koronę jako na główny punkt całej uroczystości, siłąc się przeczytać napis, którego jednak w żaden sposób nie można było odczytać, ponieważ korona była zbyt wysoko. Musielismy więc cierpliwie czekać na rozwiązanie zagadki.

Zjawili się na miejscu, znalazłem tam już większą część gości, brakowało tylko pani Rullée z jej wychowanekami. Ale właśnie, gdy chciałem się przywitać z panią baronową i wyrazić jej swoje uznanie za zorganizowanie



wanie uroczystości, ukazała się na końcu alei ta czcigodna wychowawczyni ze swoją liczną drużyną.

— A więc przychodzą nareszcie nasze królowe kwiatów, te miłe córki wiosny — rzekła pani baronowa, a poleciwszy zagrać coś pięknego, żywego, wyszła im naprzeciw wraz ze wszystkimi gośćmi.

Był to prześliczny widok. Cały orszak dziewcząt, ślicznie przystrojonych rozmaitymi wieńcami, wyglądał bardzo ładnie. Na przedzie szły Zuzia i Frania, obydwie białe ubrane, pierwsza ozdobiona różami i pączkami róż, druga najpiękniejszymi kwiatami modrego powoju. Pierwsza miała różową, druga niebieską wstążkę. Za nimi szła para ozdobiona wieńcami akacji i kwiatu wanilii z zielonymi wstążkami. Za tymi trzecia para z wiankami z fiołków i kluczyków, dalej inne ozdobione wieńcami z narcyzów, bratków i innych kwiatów. Minawszy panią baronową, podzieliły się na pojedyncze pary, a wokoło uwieńczonych dziewcząt poczęli się gromadzić goście, podziwiając piękność i gust w wyborze kwiatów.

Na końcu orszaku kroczyła pani Rullée, prowadząc za ręce dwie najmłodsze wychowanki: Aimée i jeszcze jedną małą dziewczynkę. Ze wzruszenia twarzyczka mej ulubienicy pałała rumieńcem, oczy jej miały swój zwykły, miły wyraz wewnętrznego spokoju. Zdawało się, że wszystko ją bawi i że na wszystko pilnie zważa. Nie było w niej nic z niecierpliwego niepokoju, oczekiwania i obawy, co można było zauważyć u tych, które marzyły o koronie. Widać było, że jej radość jest taka sama, jak wówczas, gdy w ciemnym lesie zrywała swe ulubione kwiaty. Żadna zazdrość nie plamiła i nie mąciła spokoju jej duszy. Podobnie jak jej koleżanki i ona była ubrana na biało, na głowie nie miała żadnej innej ozdoby, oprócz jasnych kędziorów zdradzających anglosaskie pochodzenie. Ze swych konwalii uplotła prześliczny wianek, opadający na lewe ramię. Przeplotła go jasnozieloną wstążką ułożoną w kokardkę na prawej stronie głowy. Zauważyłem, że oko pani baronowej z upodobaniem spoczęło na mojej ulubienicy i że z takim samym upodobaniem odpowiedziała na jej pozdrowienie.

Ale gdy tylko pani Rullée puściła jej rękę, Aimée natychmiast zniknęła z tyłu za swoimi koleżankami.

Znaną jest rzeczą, że moi rodacy Francuzi są mistrzami w mówieniu pochlebstw, nie mogło więc być stosowniejszej sposobności jak uroczystość pani baronowej, aby tego dowieść. I rzeczywiście, panowie i panie nie omieszkali skorzystać z okazji, chwając wszystko, co według swego smaku uważali za piękne. Szczególnie różnorodne kwiaty, jakimi przyoz-



dobily się dziewczęta, dały im sposobność do czynienia różnych porównań; każdy uważał, że należy coś od siebie dodać.

— Wasza uroczystość kwiatowa, pani baronowo — mówiła pani de T... — jest wspaniała, prawie cudowna i naprawdę przechodzi wszelkie moje oczekiwania. Ale nie chciałabym twierdzić, że te wspaniałe wieńce czynią te młode damy ładniejszymi. Owszem, prędzej bym powiedziała, że kwiaty nabierają krasy dopiero od tych, które się nimi ozdobiły.

Mówiąc to spoglądała na pana O., jakby od niego oczekiwała potwierdzenia tego co mówiła.

I to była właśnie sposobność, na którą czekał ten stary dworak. Wstał natychmiast z miejsca, aby także popisać się jakimś komplementem; dodał do tego co zauważyła pani T.: „róża poblednie, a jaśmin żółknie z zazdrości dlatego, że te, którym one za ozdobę służą, przyćmiewają je własną pięknnością”.

Podziwianie i próżne mowy trwały dosyć długo, aż wreszcie pani baronowa wstawszy, dała znak muzykom, żeby przestali grać, a przystąpiwszy do posągu kazała zdjąć z niego mirtową koronę. Dzieci tymczasem, na rozkaz pani Rullée, ustawiły się w półkole przed panią baronową, reszta zaś obecnych otoczyła to kwitnące koło dziewcząt.

Nastąpiła głęboka cisza, podczas której sługa, wszedłszy na podwyższenie zdjął koronę z głowy bogini i podał ją pani baronowej. Stojąc tuż obok pani baronowej zauważyłem, że korona nie była zrobiona z prawdziwych gałęzi mirtowych, ale była sporządzona z różnych materiałów. Listki były z folii i z pluszu, kwiaty ze złota i masy perłowej, pączki zaś z koralu. Prześliczną tę koronę przeplatała wstążka niebieskiego koloru, na której był wyhaftowany złotem napis.

Widziałem jak pani T., stojąc po prawej stronie pani baronowej, tak samo jak ja, chciała na chwilę dostać koronę do ręki. Pani baronowa nie pozwoliła wziąć sobie korony z ręki, nie pozwoliła też, żeby ktokolwiek przeczytał napis.

— Widzę — rzekła — w jak trudnym jestem położeniu, gdy mam wybierać spośród tak wielu pięknych dziewcząt. Wiem, że grozi mi niebezpieczeństwo pominięcia tej, która jest najgodniejsza, która na wyróżnienie najbardziej zasługuje. W tym kłopotliwym położeniu jedyną pomocą jest dla mnie właśnie ten napis, dlatego nie mogę nikomu pokazać go przed czasem.

Po tych słowach umilkła, wodząc oczyma po milej gromadce, jaką miała przed sobą.

Zauważyłem, jak ta i owa z dziewcząt się rumieniła. Szczególnie ru-



mieniły się Zuzia i Frania. Prawdę mówiąc byłem przekonany, że korona dostanie się jednej z nich.

— Widzę, że jest pani w kłopotcie, wielmożna pani baronowo — odezwał się hrabia S. — i nie ma się czemu dziwić; jest tu przed nami tyle piękności, że naprawdę trudno orzec, której się to złote jabłko należy.

— Przepraszam — rzekła pani baronowa — pan hrabia mnie nie rozumiał. Korona nie jest przeznaczona dla najpiękniejszej, najbardziej błyszczącej lub najchytrzejszej spośród naszych kochanych dziewcząt, ale przeznaczona jest dla tej, która zgodnie z napisem obrała dla siebie najpiękniejszą cnotę.

— Pojmuję pani myśl, pani baronowo — odezwał się jeden z księży — nikt z nas nie wątpi o pani poczuciu piękna. Kto ma rozum, ten nie pomyśli, że mogłaby się pani pomylić. Ale mogłoby się zdarzyć, że ktoś o tych rzeczach nie ma najmniejszego pojęcia i źle panią rozumie. Wzięła pani na siebie trudny obowiązek, aby każdego z obecnych zadowolić swym rozstrzygnięciem. Pani przy tym polega na tym napisie, który ma zamknąć usta wszystkim niezadowolonym. Na mój honor, pani baronowo, jeśli ten napis nie jest czymś nadzwyczajnym, to ja — mówił z uśmiechem — obawiam się, że jest pani w wielkim niebezpieczeństwie.

— Muszę więc pospieszyć, aby was uspokoić — mówiła dalej baronowa. — Jestem przekonana, że gdy usłyszycie treść napisu, nie będziecie protestować, ponieważ został zaczerpnięty z Pisma Świętego.

Mówiąc to wyciągnęła z korony niebieską wstążkę i podała, że napis zawiera słowa apostoła Piotra, które pisał do wierzących kobiet:

*„Ozdobą waszą niech nie będzie to, co zewnętrzne, trefienie włosów, złote klejnoty lub strojne szaty, lecz ukryty wewnętrzny człowiek z niezniszczalnym klejnotem łagodnego i cichego ducha, który jedynie ma wartość przed Bogiem”*

(Pierwszy List Piotra 3,3-4).

Przeczytawszy to pani baronowa spojrzała na Aimée.

— Miły ten kwiatek ukrywa pod zielonym płaszczykiem swoją krasę. Jest bez zmary, śnieżnobiały i wonny, jego liście chłodzą i leczą, lubi miejsca skromne i zacienione, wyniesiony na światło wygląda bardzo mile. A więc muszę uznać konwalię za najpiękniejszą ozdobę dziewczyny, a tym samym przyznać koronę tej, która ozdobiła się tym kwiatkiem.



Wszyscy obecni przyjeźli ten wybór z uznaniem, czy wszystkich zostały zwrócone ku temu drogiemu dziecku, które na skinięcie pani baronowej wystąpiło naprzód chociaż było to widoczne, że czyni to niechętnie i zdziwienie, a nawet przykrość napelnia jej serce.

— Droga Aimée — zaczęła pani baronowa, gdy dziewczynka ukłoniła się jej — ciesz się mną bardzo, że szczerze cię miłując mogę cię obdarzyć tym wyróżnieniem. Już dawno zwróciłam uwagę na twój dobry charakter. Od czasu gdy jesteś u pani Rullee twoja pokora i skromność sprawiają mi prawdziwą radość. Jest tu wiele takich, które przewyższają cię zdolnościami lub jakimś zewnętrznym zaletami. Rozumiesz więc, że nie za te cnoty chcę cię odznaczyć. Twoja pokora, twój umysł wolny od wszelkiej zazdrości i innych złych rzeczy jest tym, co czyni cię piękną w moich oczach. Sam Pan Bóg stawia taką ozdobę ponad zapłatą w wosów, ubieranie się w złoto i w kosztowne szaty — jakżebym ja nie miała tego czynić? Tak więc tego ukrytego człowieka pragnę w tobie ukoronować, moja droga Aimée — musisz tedy, drogie dziecko, przypisać część nie sobie, ale Temu, który jest w niebie, ponieważ to On okazał ci tak wielką łaskę.

Mówiąc to, pani baronowa podniosła koronę nad swoją małą ulubienicą i już, już chciała ją włożyć na jej głowę, gdy wtem ona klękając, z ujmującym serce wdziękiem, podniosła swe oczy ku pani baronowej i odezwała się głosem głęboko przenikającym do serca:

— Ach droga pani, proszę nie czynić tego: gdybym miała nosić tę koronę, to tym samym pokazałabym wszystkim tutaj zgromadzonym, że wcale na nią nie zasługuję, tak też jest w rzeczywistości. Owszem, ja pragnę być podobna do konwalii, ale nie jestem. Znam swoje serce, wiem, że jest pełne złych rzeczy. Może tego nie widać, ale ja to czuję. Proszę panią, aby pani nie wkładała korony na moją głowę.

Grobowa cisza zapanała pomiędzy zgromadzonymi, wszystkich ogarnęła święta powaga. Najbardziej wzruszona była widocznie pani baronowa, gdyż długo milczała. Nareszcie, podniosłszy znowu koronę nad głowę dziecka rzekła:

— Aimée, dziecko drogie, nie możesz sprzeciwiać się naszym wspólnym życzeniom i musisz przyjąć to wyróżnienie, którego też naprawdę jesteś godna.

— Ach nigdy, miłościwa pani! — odpowiedziała Aimée i ciągle jeszcze klęcząc, podniosła znowu błagalne spojrzenie ku pani baronowej. — To się nigdy nie stanie — mówiąc to zdjęła swój wieniec, a położywszy go na murawie u nóg pani baronowej, rzekła:



— Nie jestem godna ani korony, ani tego konwaliowego wieńca. Proszę położyć koronę na wieńcu. Będzie usiłowała stać się godną obojga i chociaż mi się to nie uda w tym życiu, to mam nadzieję, że po śmierci przejdę zasługi mego Zbawiciela, który...

Ostatnich słów nie mogliśmy dosłyszeć, ponieważ były stłumiony głosem dziewczęcia.

— Aimée, moja droga mała Aimée, ty złote dziecko, zwyciężyłaś — zawałła pani baronowa, kładąc koronę na wieniec konwaliowy, a podszedłszy do Aimée wzięła ją na ręce i przycisnęła do serca, długo i rzewnie płakała. Wszyscy obecni byli bardzo wzruszeni, oczy wszystkich zaszyły łzami.

Wspominany wyżej ksiądz rzekł stłumionym głosem:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Jezeli to dziecko uważa się za nieczyste przed oczyma równych sobie stworzeń, to czymże ja jestem przed obliczem Boga.

Podobne wyznanie słyszałem z wielu ust. Szczególną radość sprawiła mi Zuzia zapewniając mnie, że bardzo się wstydzi, wstydzi się sama przed sobą swojej próżności i złości.



A teraz jest jeszcze rzeczą konieczną, abym zapewnił moich jeźców, że tak przy tej, jak i przy każdej innej sposobności postępowanie Aimée było wolne od wszelkiej nieprawdy i że nie było w nim najmniejszego cienia obłudy. Mówię to, ponieważ przypuszczam, że nie będą mogli sobie wytłumaczyć, w jaki sposób takie dziecko mogło zupełnie inaczej myśleć i postępować, aniżeli inni ludzie. Rzecz jest prosta. Dopóki się ktoś nie narodził na nowo, to czy to dziecię, czy starzec, uważa się za dobrego, za godnego większego szczęścia i większego uznania. Takie usposobienie jest z człowieka, nie z Ducha Świętego. Gdy Duch Boży rozpoczyna działanie w człowieku, zdejmuję z niego wszelkie urojone piękno i stawia mu przed oczy jego własny grzech, jego skazenie, wywołuje w nim skruchę, pokutę, a dopiero potem pokazuje tę prawdę, czystą, białą szatę, tę prawdę ozdobę, w której człowiek może ostać się przed Bogiem. Jest nią usprawiedliwienie darowane z łaski przez wiarę, dzięki zasługom Jezusa Chrystusa.



Wielki, potężny Bóg, którego niebios a niebios nie mogą ogarnąć, traktuje wszystkich ludzi jednakowo. On to uczynił sobie mieszkanie w sercu tego małego dziecka. Stało się to poprzez działanie Ducha Świętego, któremu ono w swej dziecinnej pokorze się podobało. Każdy, kto nie ma jeszcze takiego poznania, kto nie osiągnął takiego stanu jak to dziecko, to choćby był zapisany nie wiem w ilu kościołach i tak nie jest chrześcijaninem i udziału w wiecznym Bożym życiu nie ma.

Cokolwiek Aimée powiedziała o swoim życiu i sercu, mówiła jako szczerze, niewinne dziecko i to wszystko zgadzało się z Bożą prawdą. Aimée mówiła o sobie samej i jako dziecko nie znające świata i jego przewrotnych dróg nie była świadoma, czy jej słowa kogoś dotkną lub jakie wrażenie zrobi jej zachowanie na ludziach. Dlatego też wcale nie mogła o tym wiedzieć, że jej słowa i jej postępowanie tak zwracały na nią uwagę dorosłych. Zaprawdę, prawdziwa pokora jest wspaniałą cnotą. Może ona stać się zwierciadłem, w którym inni mogą się przejrzeć.

Koronę i konwaliowy wieniec Aimée poleciła pani baronowa zanieść i powiesić w kościele. Minęło wiele czasu zanim uczestnicy tej uroczystości otrząsnęli się z wrażenia, jakie na nich wywarło dziwne zachowanie dziewczynki. Trudno im było zmusić się do zabawy i tańców, które nastąpiły po tej uroczystości; po raz pierwszy w życiu zastanawiałem się nad istotą takiej tanecznej zabawy, i w ogóle nad treścią wielu innych rozrywek, tak bardzo lubianych przez dzieci tego świata. Zrozumiałem teraz, jak jednoznacznie duch takiej zabawy sprzeciwia się Duchowi Bożemu, który usiłuje stworzyć w człowieku błogosławione, wieczne Boże życie.

Zrozumiałem, jak taka zabawa odrywa człowieka od jasnych, prostych ścieżek życia i prowadzi na bezdroża, trzęsawiska i zatracenie. Zrozumiałem wtedy, że człowiek, który przez poznanie prawdy i wiarę w Jezusa Chrystusa wyszedł na światło, człowiek, któremu wzeszło słońce i nastał dzień, już nie potrzebuje latarni i kopających świec.



Od opisanej uroczystości mijały tygodnie, w przeciągu których u nas nie działo się nic szczególnego. W tym czasie przez nasze państwo przetaczały się straszne polityczne burze. Objawiły one potworne zło, które drzemie na dnie ludzkiego serca, a które ludzie tak zręcznie tają i przykrywają towarzyską ogładą. Następstwa tej burzy były ogromne i niezwykle interesujące. My na wsi



w niewielkim stopniu odczuwaliśmy ogrom tego poruszenia, ale w Paryżu panował straszny zamęt.

Podczas gdy w stolicy szalała zawierucha i panowało zamieszanie, minęły ostatnie dni lata i nadeszła jesień, a potem zima.

Podczas zimy zachorowałem na reumatyzm i z tego powodu musiałem aż do wiosny pozostać w łóżku. Czas ten jednak, gdy tak sam leżałem w łóżku, był dla mnie błogosławiony. Straciwszy przyjaciół i doradców, przylgnąłem do Słowa Bożego, jako jednego najlepszego doradcy i przyjaciela i nauczyłem się je cenić i kochać, czego może nie uczyniłbym, gdybym był zdrowy. W Biblii odkryłem niezmierzoną głębię bogactwa, mądrości i znajomości Boga. Czerpiąc z tej głębi, stawałem się z dnia na dzień szczęśliwszy, mój zewnętrzny człowiek coraz bardziej malał, natomiast mój wewnętrzny rósł, rozwijał się stale.

Tam na dworze ziemia była przykryta białym całunem, mroźny wiatr huczał wśród nagich gałęzi drzew, ale we mnie, w moim sercu budziła się wiosna wiary, nadziei i miłości. Zroszona łzami pokuty, ustawicznie kąpana w promieniach słońca łaski Bożej, zaczęła się wspaniale rozwijać.

Gdy już stan mego zdrowia o tyle się poprawił, że mogłem opuścić łóżko, lekarz doradził mi wyjazd w celu zmiany powietrza. Byłem jeszcze tak słaby, że musiano mnie zanieść do powozu, którym odjechałem do swej zamężnej siostry w pobliże miasta Rouen. Tam spędziłem przeszło dwa miesiące, w czasie których zupełnie wróciłem do sił.

Na krótko przed moim powrotem otrzymałem od pani baronowej list, który przyniósł mi bardzo smutną wiadomość. Pani baronowa napisała mi, że w domu pani Rullée wybuchła zakaźna choroba i wiele dziewcząt ciężko chorowało, a mała Aimée walczy ze śmiercią. Było już lato, gdy otrzymałem tę smutną wiadomość. Pośpieszyłem więc do domu, do swego biednego stadka, które przez tak długi czas prowadziłem złymi drogami. O, jakże sobie życzyłem, żeby mi została darowana możliwość zgromadzenia tych zbłąkanych owieczek wokół mego Dobrego Pasterza. Niestety, w krótkim czasie zostałem zmuszony opuścić swoją ojczyznę i udać się na obczyznę. Jednakże ten obcy kraj stał się dla mnie, podobnie jak dla Abrahama, drugą, lepszą ojczyzną. Kiedy teraz wspominam minione dni, dusza moja chwali i błogosławi Tego, który swoją możną prawicą przełamał to, do czego mej słabej wierze brakowało męstwa i odwagi. To Jemu zawdzięczam, że obecnie już nie jestem niewolnikiem ludzi, ale wolnym sługą Pana mojego, Jezusa Chrystusa.





Pewnego pięknego majowego wieczora wybrałem się, żeby choć na chwilę zobaczyć swoją wioskę. Dojechawszy powozem nad brzeg Sekwany przepравиłem się łódką na drugi brzeg, zaś resztę drogi, nieduży już zresztą kawałek, postanowiłem przejść piechotą.

Gdy wysiadłem z łódki i stanąłem na ziemi byłej mojej parafii, zdawało mi się, że wszystkie rzeczy uśmiechają się do mnie i witają mnie z jakąś serdecznością. Z radością w sercu, że będę mógł zobaczyć to, co na tym świecie jest mi jeszcze miłe, śpieszyłem wąską ścieżyną prowadzącą przez zarośla w stronę wioski, gdy nagle dogoniła mnie jedna z wieśniaczek, która zdążyła w tę samą stronę co ja.

— Dobry wieczór, pani Marque! — powitałem ją. — Jak się powodzi? Jak mają się nasi przyjaciele?

— Witam, witam serdecznie, ojcie Baffre, witam po tak długiej nieobecności. Cieszy mnie bardzo, że widzę księdza znowu zdrowego, ale, niestety, straciliśmy jeden z najpiękniejszych kwiatów. Właśnie idę aby wziąć udział w ostatniej usłudze, w pogrzebie.

— Jeden z naszych kwiatów? Chyba nie moja konwalia? Czy naprawdę moja Aimée?

— Tak ojcie! Ach, już wtedy, gdy widziałam ją w ogrodzie zamkowym, myślałam, że ten aniołek nie doczeka drugiej uroczystości. Takie jak ona nie są dla tego świata. Jej własne słowa wtedy, gdy nie chciała przyjąć korony, utwierdziły mnie w przeczuciu tego, co się właśnie stało. Inni też to samo mówili. Słyszałam, że na jej trumnie ma być złożony jej wieniec i korona. Wieniec wprawdzie już uwiądl, lecz korona, jak słyhać, zrobiona została ze sztucznych, nie więdących liści i kwiatów, ciągle jest tak samo wspaniała, jak wtedy. Ach, ojcie kochany, to będzie wzruszający widok! Z pewnością będą tam wszyscy, którzy uczestniczyli wtedy w uroczystości kwiatowej.

Zdjęty głębokim bólem nie potrafiłem wypowiedzieć słowa, dlatego ta dobra kobieta bez przerwy mówiła.

Opowiadała wiele o chorobie i śmierci mojej ulubienicy. Opowiadała, że pani Rullée i pani baronowa, która jest niezmiernie zasmucona, pielęgnowały to kochane dziecko dniem i nocą, i że dopóki Aimée była przytomna, bardzo ładnie się modliła i wzywała imienia swego kochanego Zbawiciela. Mówiła o swojej nadziei, że zostanie wzięta do tego, który za nią umarł, pójdzie w objęcia tego, który wypił za nią kielich gorzkości. Jego to gorąco pragnęła zobaczyć. Okazywała niezwykłą miłość swej wychowawczyni, pani baronowej i swym koleżankom. Po tym wszystkim



Podczas gdy takie uczucia i takie pytania napelniały moje serce, wyszliśmy z zarosli, a szedłszy nieco w bok, ujrzelismy wieżę kościelną, z której właśnie rozlegał się głos dzwonów. Usłyszawszy te smutne dźwięki miałem wrażenie, że serce mi chce pęknąć. Nie mogłem powstrzymać się od płaczu, nawet przez wzgląd na idącą obok mnie kobietę i zaczętem głośno płakać, płakać jak dziecko. Teraz dopiero zrozumiałem, że Aimée była narzędziem w rękach Pana, przez które On wybawił mnie z mojej nędzy duchowej, że to był anioł, którego Pan posłał, aby mi zwiastował Ewangelię. Dopiero teraz odczułem, że rzeczywiście jestem samotny, ponieważ z nią łączyła mnie więź wiary. Ona była mą jedyną prawdziwą przyjaciółką i siostrą w Chrystusie, a będąc ode-

Kobieta z wielką radością przytakiwała moim słowom. — Biedna moja owieczko! — zawolałem ze łzami — więc już jesteś przyłączona do tego górnego stadka, do jedynego Dobrego Pasterza! Już teraz On sam pasie cię na swych dobrych paszach i wiedzie do cichych wód! Droga moja konwalia! Już zostas przesadzona do tego błogosławionego ogrodu, w którym będziesz rosła i wspaniała kwita!... Lecz kto tutaj zajmie twoje miejsce? Kto teraz będzie orzeźwiać i cieszyć moje serce rozkoszną wonnością Chrystusową tak, jak tylko ty umiałaś to w swej pokorze czynić?

— O, dałby Bóg, abym i ja dostąpił zbawienia tak, jak to dziecie! Do kogo wołała w godzinie śmierci? Dla kogo żyła? Do kogo należało jej serce? Czy tego upodobania szukała w całym swoim krótkim życiu? Komu dziękowała za wszystko? Czyż nie jednemu Zbawicielowi, niezrównanie wyższemu nad wszelkie stworzenie, aniołowi i świętym Synowi Bożemu, przez którego człowiek może jedynie być zbawiony?

Wtemczas przerwałem jej mowę i zawolałem:

— Wątpisz ojcze Bafre w jej zbawienie?

— Ach tak! — odpowiedziałem — tak, tak, ono pochodziło z Anglii.

Ponieważ w moim głosie usłyszeć można było ból, kobieta przełękła się i patrząc na mnie ze współczuciem zapytała:

— Czy nie było ono z Anglii?

— Zai mi tylko bardzo, że ta biedna dziewczynka zachowywała się tak chłodno i obojętnie, gdy ksiądz chciał jej udzielić ostatniego pomazania i wcale nie zwracała uwagi na to, co się kolo niej działo. Ostatnie pomazanie przyjmowała tak, jakby zupełnie o to nie dbała, a na krzyż święty, który przed nią trzymano ani nie spojrzała. Boże, bądź miłościw jej duszy! Wtemczas pomyślałam, że to dziecko było chyba z niewierzących.

z jakimś bolesnym wyrazem kobieta dodała:



mnie o wiele starszą i silniejszą w wierze i miłości Bożej, mogłaby mnie skutecznie wspierać i posilać. O, jak wiele, wiele w niej utraciłem.

Nim się jako tako opanowałem, znalazłem się już na wiejskiej drodze, prowadzącej wprost do kościoła. Główne drzwi były otwarte, domy naokoło jakby wymarłe, wszędzie cisza, tylko cudowne dźwięki organów i smętnie śpiewanych pieśni przenikały głęboko do mojej duszy, odrywając ją od ziemi i od wszystkiego, co ona na sobie nosi i co tak szybko przemija, unosiły mnie tam gdzieś w górę, w wieczne strony tak, iż we mnie rodziło się tylko jedno pragnienie: umrzeć i razem z Aimée znaleźć się u Pana.



Wszedłszy do kościoła, zobaczyłem tam nie tylko wszystkich moich parafian, ale również wielu ludzi z okolicznych wsi. Rozstąpiwszy się zrobili mi miejsce tak, że mogłem przejść głównym przejściem aż do wielkiego ołtarza, przed którym stała przykryta białym całunem trumna mojej drogiej Aimée. Naokoło trumny stały w półkołu wychowanki zakładu.

Ktokolwiek był na tamtej uroczystości w zamku musiał mimo woli porównać tamtą uroczystość z tym smutnym obrzędkiem. Wówczas dziewczęta kwitły w swych pstrych ozdobach, swawolne w swym zachowaniu, dziś nie było ani wstążek, ani kolorowych kwiatów, wszystkie dziewczynki ubrane były w czarne spódniczki i białe bluzki. Do tego większej części choroba odjęła świeżość i rumieńce, a trumna mówiła do nich tak przejmująco, że wywierało to na nie duże wrażenie. Nawet Zuzia, róża zakładu, była dziś blada, a jedyną jej ozdobą były obfite łzy.

Wywarło to duże wrażenie również na lekkomyślnej Wiktorii, tak, że nie była w stanie oprzeć się poważnym, bolesnym uczuciom. Stała cicha, nieruchoma jak posąg; być może czyniła sobie wyrzuty za swe niegodne postępowanie wobec tej wątłej, dziś już zwiędłej konwalii.

Na wieku trumny leżał uschnięty wianek, którym przyozdobiła się Aimée na uroczystości kwiatowej. Dziś był on wyraźnie symbolem, znakiem śmierci tej, która jego kwiatki niegdyś zrywała i z nich go uwiła. Chyba nie było ani jednego serca, które nie byłoby wzruszone, ale moje było wzruszone najgłębiej, bo jeszcze tak żywo stał mi w pamięci piękny poranek, gdy Aimée rwała te kwiatki i tak wyraźnie widziałem jej radość z tego, że jej życzenie się spełniło.

Ten wieniec leżący przed nami przemawiał głęboko do naszej wyo-



brażni, wskazując nam na słowa z Psalmu 103: „*Dni człowieka są jak trawa: tak kwitnie jak kwiat polny. Gdy wiatr polny nań powieje, już go nie ma i już go nie ujrzy miejsce jego*”. Tę mowę rozumieć musiało chyba każde serce.

Gdy zbliżałem się do ołtarza, nikt na mnie nie patrzył, chociaż byłem świadomy, że wszyscy mnie zauważyli. Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki pod wysokim kościelnym sklepieniem, podszedłem do trumny. W tej samej chwili z drugiej strony zbliżyła się do trumny pani baronowa, niosąc mirtową koronę. Wieniec, niegdyś tak świeży, teraz leżał przed nami suchy dlatego, że został uwity z kwiatów, które więdną. Natomiast korona była tak samo piękna i nienaruszona, jak w czasie uroczystości kwiatowej. Zdawało mi się, że mówi ona do nas słowami Apostoła: „*Dobry bój bojowałem, biegu dokonałem, wiarę zachowałem; a teraz oczekuje mnie korona sprawiedliwości, którą mi w owym dniu da Pan, sędzia sprawiedliwy, a nie tylko mnie, lecz i wszystkim, którzy umiłowali sławne przyjście Jego*” oraz: „*Gdy się objawi Arcypasterz, otrzymacie niezwiędłą koronę chwały*”. Choć nikt tych słów nie wymówił, a wielu z obecnych nawet ich nie знаło, to jednak podobna myśl, podobne uczucie przechodziło przez wszystkie serca, szczególnie w chwili, gdy pani baronowa uniósłszy z powagą koronę, tak samo jak w czasie uroczystości nad głową Aimée, tak teraz trzymała ją nad trumną, a potem uroczyście położyła ją na zwiędłym wieńcu leżącym na trumnie.

Czyn ten zgromadzeni doskonale zrozumieli, bo panującą ciszę przerwało głośnie łkanie.

Następnie pani baronowa schyliwszy się nad trumną, pocałowała na pożegnanie nieżyjącą Aimée, pani Rullée, przybliżywszy się, uczyniła to samo, a po niej wszystkie wychowanki zakładu. Po tym wzruszającym pożegnaniu zakończyła się uroczystość pogrzebowa, organy odezwały się jeszcze raz potężnymi akordami i zwłoki mojej drogiej Aimée przeniesione zostały do zamkowego grobowca.

Zgromadzenie rozeszło się, pozostałem sam jeden w kościele. Moje zranione serce uciekało się teraz do Boga, do którego już należało, prosiło go i płakało, a mocując się z sobą, jak niegdyś serce Jakuba, czyniło gwałt, aby zdobyć Królestwo Niebieskie.

Teraz byłem już oderwany od wszystkiego, co ziemskie. Pragnąłem należeć tylko do Boga i tylko dla Niego żyć. Chciałem być Mu zupełnie posłuszny; pogardzić wszystkim innym i trzymać się wyłącznie Jego. Dla Jezusa Chrystusa miłosierny Ojciec wysłuchał moje gorące prośby i On sam na siebie wziął wykonanie mojego postanowienia.



Niedługo potem z samej stolicy Francji, z Paryża, wyszło krwawe prześladowanie, dotarło do najodleglejszych części kraju i zmusiło nas do opuszczenia ojczystej ziemi; i dobrze, że się tak stało, bo byłbym zapewne znowu znalazł się w tej samej sytuacji, w jakiej poprzednio się znajdowałem.

Schroniłem się w Anglii, w ojczyźnie mojej drogiej Aimée. Jej ojczyzna stała się moją ojczyzną, jej lud moim ludem, a jej Bóg również moim Bogiem.

Zanim wyrosła, zanim się rozwinęła i w pełni rozkwitła została przeniesiona moja mała konwalijka ze złej, skalistej gleby tego świata do rajskiego ogrodu. Zanim z jej piękna i wonności radować się mogli smutni tej ziemi, a chorzy odnaleźć w niej zdrowie, została ujęta za swą drobną rączkę i poprowadzona do tego, którego tak gorąco miłowała i za kim tak serdecznie tęskniła. Została złączona ze swoimi drogimi, z którymi tak gorąco chciała się spotkać.

Odeszła do wiecznego przybytku, aby tam za sobą pociągnąć tych, którzy tak jak ona całym sercem umiłowali i miłują Tego, który jest życiem naszego życia, który niech będzie błogosławiony na wieki wieków.

Poszła, a za odchodzącą szła i idzie myśl promienna: „*Błogosławieni umarli, którzy w Panu umierają*”.